ŚWIATOWID

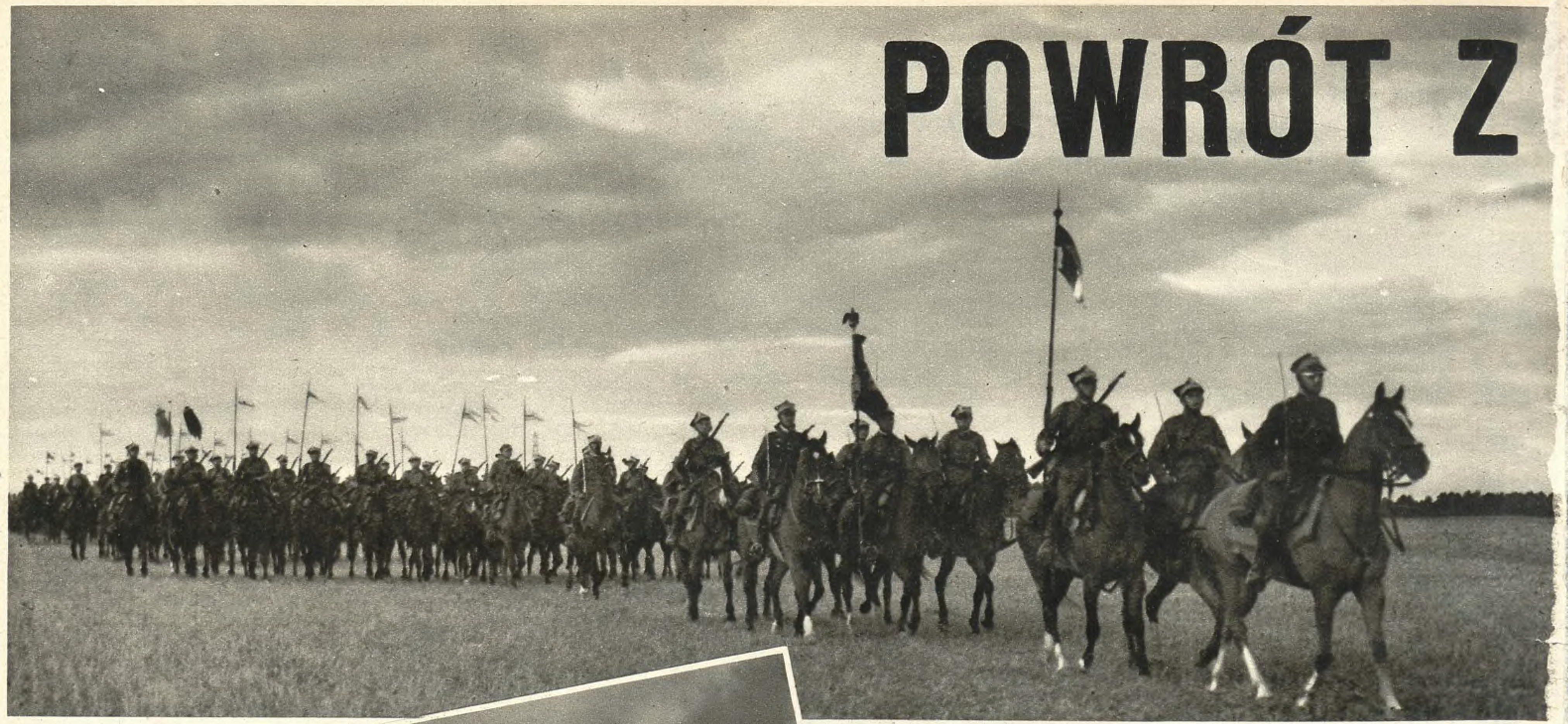
21 WRZEŚNIA 1935
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.20.
Nr. 38

ZAWODY O PUHAR GORDON BENNETTA



Dnia 15-go b. m. nastąpił w Warszawie start balonów kulistych do zawodów o puhar Gordon Bennetta. Na zdjęciu balon

POWRÓT Z MANEWRÓW.



W tych dniach od 7 do 12 b. m. odbyły się w rejonie Tucholi na Pomorzu manewry wojskowe. Na zdjęciu oddziały kawalerji w defiladzie.
Fot. W Pikiel — Warszawa.



Artylerja na pozycji.
Fot. W. Pikiel — Warszawa.



Szef sztabu armji belgijskiej, gen. Van Den Bergen i przedstawiciel armji francuskiej gen. Poupinel na terenie manewrów. *Fot. W. Pikiel — Warszawa.*

W ubiegłym tygodniu zakończyły się manewry wojskowe, odbywane przez armję polską w wielu punktach Rzeczypospolitej, jak w woj.: łódzkiem, pomorskiem, na Śląsku, na Wileńszczyźnie i na południowo-wschodnich obszarach Małopolski.

Trudne i znojne „boje" — niebieskich z czerwonymi, odbywały się przy szczególnie dużym udziale rezerwy, która mimo oderwania od spraw wojskowych pracą w zawodzie cywilnym, wykazała duże umiejętności, a szczególnie bardzo wiele dobrej woli.

Mniej dobrej woli wykazała aura. Choć krótkotrwałe, ale rzęsiste przelotne deszcze zmieniały polskie drogi w istne grzęzawiska, przez które nieraz bardzo trudno było przeprawić się z taborem. Niejednokrotnie trzeba było „spieszać" nawet... artylerję i rozkładać duże ciężary baterji na barki ludzkie, by tylko z podwoziami konie mogły się przeprawić przez drogi.

W każdym razie manewry wykazały celowość motoryzacji armji. Oczywiście pod względ brane są jedynie czołgi i samochody na t. zw. gąsienicach, bo tylko dla takich maszyn nie istnieją przeszkody w postaci rowów, dołów, wybojów — jednem słowem wszystkich bolączek polskich dróg.

Choć w trudzie — dzielnej naszej armji nie opuszczał dobry humor, którego oczywiście największą dozę „dowieźli" rezerwiści. Umundurowani cywile ze swego codziennego życia wnieśli ze sobą w surowe rygory wojskowe mimowolną wesołość i pogodę, wypływającą chociażby już z niezbyt dopasowanych mundurów, pogodę — która dziś po dniach wędrowania z jednego odcinka mapy na drugi pozostawi miłe wspomnienia.

Długo wspominać się będzie np. obiad w zdobytem nieprzyjacielskiem kasynie oficerskiem, którego kucharze pozostawiwszy doskonałe, ledwo co ugotowane potrawy, sromotnie uciekli, zostawiając kotły na miejscu, a następnie po **tym tak** smacznym, bo zdobytym obiedzie — równie sromotny odwrót wojsk własnych zaskoczonych przeciwnatarciem niegroźnego zresztą nieprzyjaciela.

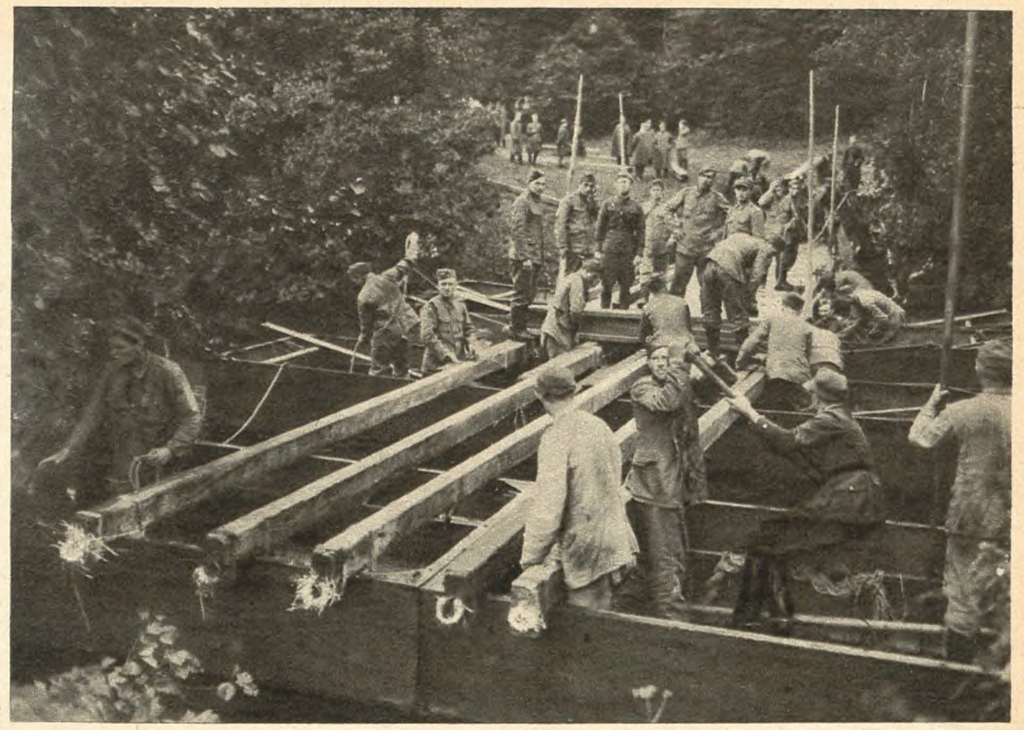
Wzajemni **„wrogowie", choć nie** zabijali się, ale tu i ówdzie brali oddziały w niewolę. I to było niegroźne, czasem ten i ów, który dostał się „w niewolę" — chwalił ją sobie na końcu ćwiczeń, bo mówiąc językiem wojskowym, miał do końca manewrów błogosławioną „obijaczkę" na tyłach nieprzyjaciela.

Reasumując wrażenia z tegorocznych manewrów, ogólnie należy stwierdzić bardzo wysoki poziom **wyszkolenia** i srawności polskiej armji. Godną podkreślenia jest również i wytrzymałość naszej piechoty, która w przeciągu dni kilkunastu pokonywała dzielnie wielkie przestrzenie, wynoszące w poszczególnych wypadkach do 400 km!

Jan Kisielewski.



Na cześć szefa sztabu armji belgijskiej gen. Van Den Bergen i francuskiego generała Poupinela wydał Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, gen. Rydz-Śmigły przyjęcie w Warszawie. Na zdjęciu gen. Rydz-Śmigły w rozmowie z gen. Van Den Bergenem. Obok stoją szef sztabu gen. Stachiewicz i gen. Jarnuszkiewicz.
Fot. Ag. „Światowid", Warszawa.



Budowa mostu pontonowego przez saperów.
Fot. W. Pikiel — Warszawa.



Attaches obcych państw, którzy bawili na manewrach na Pomorzu zwiedzili przy tej sposobności Gdynię.
Fot. W. Pikiel — Warszawa.



Wojska powracające z manewrów na ulicach Łodzi.
Fot. St. Jankowski — Lwów.

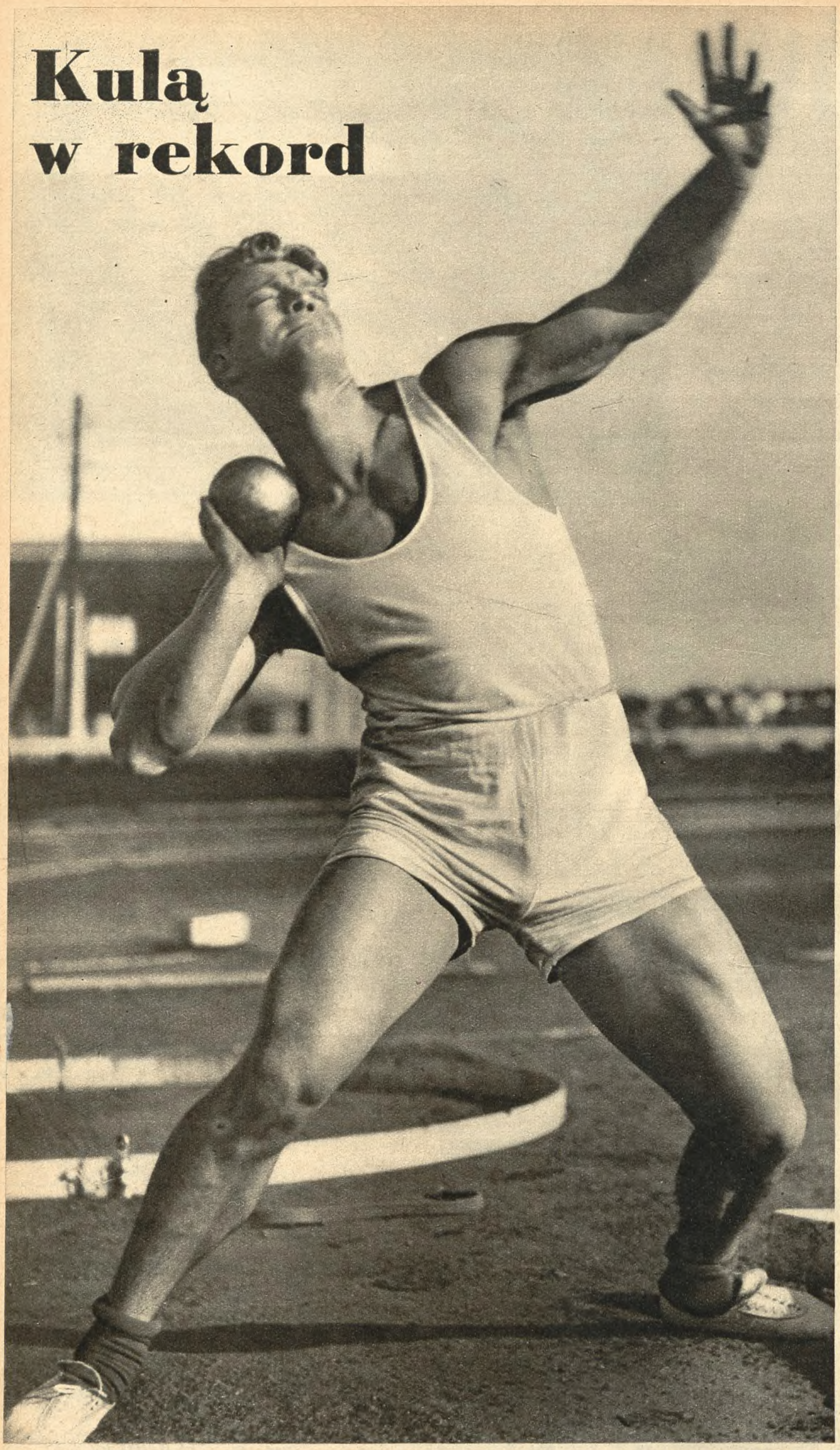


Z manewrów na Wileńszczyźnie. Artylerzyści na postoju.



Gen. Norwid-Neugebauer i gen. Langer przyjmują defiladę wojsk.
Fo. St. Jankowski — Łódź.

Kulą w rekord



Pchnięcie kulą jest jednem z najtrudniejszych ćwiczeń lekkoatletycznych. Mimo to jednak walka o rekord świata w tej konkurencji jest bardzo zacięta a toczą ją przedewszystkiem dwaj Amerykanie Sexton i Torrance. Walka między nimi dwoma nie została jeszcze ukończona, narazie przoduje w niej Torrance, który doszedł już do granicy 17 m. Przez pewien czas posiadaczem rekordu świata w pchnięciu kulą był nasz reprezentant Heljasz, który uzyskał 16.20 m. Obecnie w Europie najlepszym zawodnikiem w tej kategorji jest Niemiec Woellke, który ostatnio uzyskał wynik 16.35 m.

ZWYCIĘSTWO STUCKA.



Wielką nagrodę Monzy (Włochy) zdobył tego roku Hans von Stuck na wozie „Union". Hans von Stuck startował w swoim czasie w wyścigu tatrzańskim na wozie „Mercedes" i ustanowił wtedy rekord trasy. Obecnie znajduje się on w doskonałej formie, czego dowodem są liczne zwycięstwa na międzynarodowych wyścigach.

NA GRANICY ŻYCIA I ŚMIERCI.



Biologowi amerykańskiemu drowi Willardowi udał się ciekawy eksperyment. Oto zamroził on małpę, tak, że zwierzę pozornie umarło i przez pięć dni spoczywało w chłodni w letargu. Przeniesiona następnie do pokoju o normalnej temperaturze małpka ożyła. Niebawem dr Willard zamierza swój eksperyment wykonać na człowieku. Chwilowo jednak władze sprzeciwiły się temu, pomimo, iż nie brakło ochotników, którzy chcieli się poddać zamrożeniu.

WYSTAWA AKWARJÓW W POZNANIU.



W ub. niedzielę otwarto w Palmiarni poznańskiej wystawę akwarjów i terarjów. W uroczystościach wziął dowódca O. K. gen. Knoll-Kownacki, zastępca szefa sztabu mjr. Ostrowski i rektor dr Runge, których widzimy na zdjęciu. Wystawa przedstawia się imponująco i daje dobry przegląd egzotycznych rybek. *Ag. fot. „Światowid".*

JAK PRACUJE WŁOSKIE MINISTERSTWO LOTNICTWA.

W nieuniknionej, jak się zdaje, wojnie włosko-abisyńskiej, względnie angielskiej, decydującą rolę odegra lotnictwo włoskie, należące obecnie do najsilniejszych w Europie. — Sprawy lotnictwa zarówno wojskowego, jak i cywilnego podlegają specjalnemu Ministerstwu, na czele którego stoi Mussolini. Jak wygląda gmach tego Ministerstwa w Rzymie, poucza nas feljeton, który drukujemy poniżej.

Redakcja.

Gmach Ministerstwa Lotnictwa w Rzymie w stylu neo-klasycznym zupełnie nie zdradza wnętrza, urządzonego w stylu „novocento" z zastosowaniem wszelkiego najdalej idącego postępu techniki w dziedzinie urządzeń i udogodnień.

Zanim w towarzystwie Majora Nannini, uczestnika lotu w r. 1933 z Gen. Balbo do północnej Ameryki zapoznałam się z tym najoryginalniejszym z urzędów, wprowadzono mię do obecnego szefa Ministerstwa Lotnictwa, pułkownika Senza Denari. Wchodzę do olbrzymiego pokoju, prawie sali, której puste ściany odbiły podwójnem echem nasze powitanie. — Mimowolnie wtuliłam głowę w ramiona:

— Jakiż męczący odgłos, jak Panowie mogą tu pracować?

— Motor aparatu daje gorszy huk, musimy być zahartowani! — mówił pułkownik.

Brak wszelkich dywanów, portjer, firanek, czy mebli polstrowanych sprawia, że nic odgłosów nie głuszy.

Rozglądam się. — Na ścianach niemalowanych, jedynie wyprawionych, portrety króla i Mussoliniego, żadnej innej ozdoby. — Na umeblowanie, z czarnego dębu w zielone żyłki składa się szafka na akta, fotel, i duży stół. Biurka w całem ministerstwie niema (biurek wogóle we Włoszech prawie się nie widzi). — Pułkownik chwali się szufladą w stole, przywilej jego wysokiej rangi. Poniżej pułkownika nikt nie posiada zamykanego schowka.

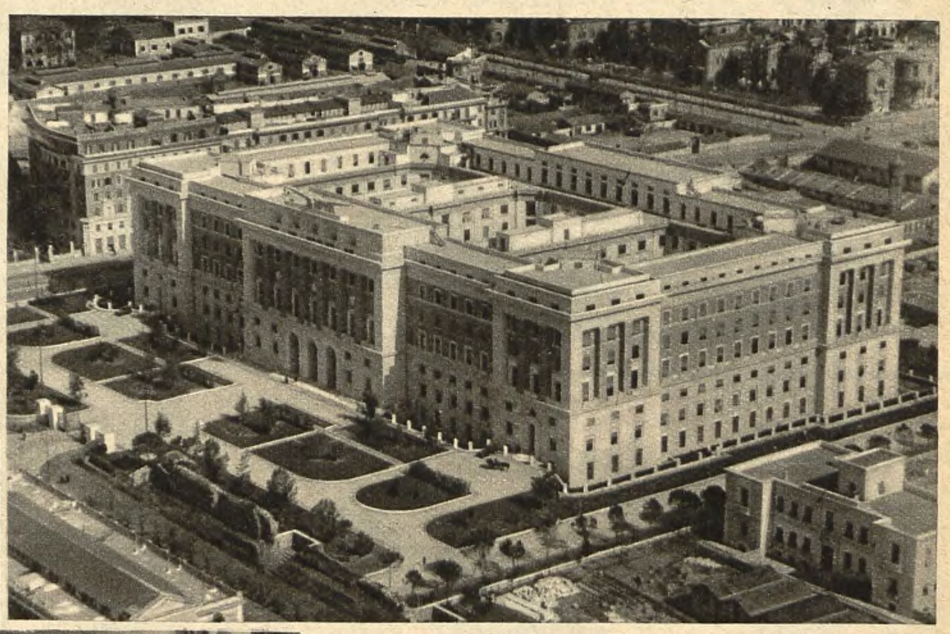
— Spartańskie mamy urządzenie — mówi mi pułkownik.

— Niczego, coby mogło odrywać od zajęć urzędowych, tu ma wrzeć praca intensywna. Po skończonem urzędowaniu „żadnych zaległości na biurku".

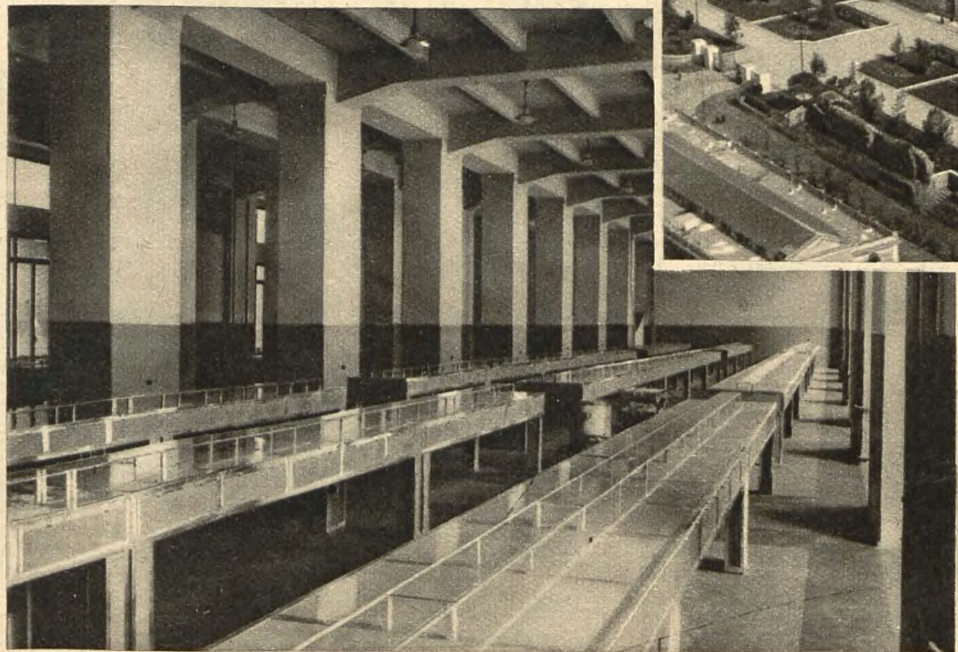
Idziemy teraz poprzez długie oszklone kurytarze, ruchu żadnego, żadnego uwijania się z aktami. Wszystko załatwia się telefonami i pocztą pneumatyczną, której wspaniałe urządzenie i sprawność działania podziwiam w podziemiach ministerstwa jak i w szklanym pokoju majora Nannini. Nietylko zlecenia, akta i listy, ale także czarna kawa czy porcja lodów wypada z mosiężnej rury przy „biurku" umieszczonej. Za chwilę opróżnione naczynie odjedzie tą samą drogą, którą przybyło i żadnego śladu czy nieporządku nie zostanie. Idziemy dalej, mijamy szklane ściany pokoi, za któremi siedzą pochylone postacie młodych ludzi i pracują, nie zwracając na nas żadnej uwagi. Ani jednej ściany masywnej, ani jednej, tylko szkło przeźroczyste, kryształowe, rżnięte, lśniące czystością i staraniem, a za temi szklanemi ścianami pochylone młode głowy i niebieskie mundury w harmonji z ciemną barwą dębu i jasnością ścian.

W tem „szklanem" ministerjum pracuje około 1250 ludzi, wliczywszy cały personal razem ze służbą, woźnymi i posługaczami. Jedynie w tem ministerstwie jest jednorazowe urzędowanie: od 8 rano do 15.30 z półgodzinną przerwą na południowy posiłek. Punktualnie o 12 syrena oznajmia przerwę w pracy. Zapełniają się w mgnieniu oka wszystkie paternostry, windy i schody i z pięciu pięter gromadzą się wszyscy w jadalni.

Na wysokości wzrostu normalnego człowieka znajdują się tam szeregi szklanych „bufetów" z otwieranemi szafkami, gdzie każdy pod swym numerem znajduje gotowe jedzenie. Gałka biała, zielona lub czerwona wskazuje przygotowującemu „menu", czy w szafce ma się znaleźć posiłek normalny, wegetarjański, czy djeta surowa, tak obecnie modna. Na wierzchu stołu-bufetu wino, szklanka i papierowa serweta. Je się stojąco, jedni obok drugich, bez różnicy stanowiska, od ministra począwszy do ostatniego woźnego. Jedyna różnica, jaka panuje w tej wspólnej jadalni to ta,



Gmach Ministerstwa Lotnictwa w Rzymie.



Sala bufetowa w Ministerstwie Lotnictwa w Rzymie.

że minister za to samo „menu" płaci 7 lirów, porucznik odpowiednio mniej coś około 4 lirów i schodzi cena tych obiadów do 1.50 dla funkcjonarjuszów najniższych.

Po obiedzie przechodzą wszyscy do olbrzymiej hali, gdzie spacerując, popijają czarną kawę.

W całym ministerstwie nie pracuje ani jedna kobieta.

Wychodzę z gmachu, który wraz z całem jego urządzeniem jest ostatnim wyrazem tego co postęp techniki przyniósł w ostatnich dziesiątkach lat, pod wrażeniem doskonałej harmonji, zgrania się i koleżeństwa tych tysiąca dwustu ludzi, którzy równocześnie wiedzą co jest dyscyplina i poszanowanie hierarchji.

J. Lambert.

O KULACH DO OŁTARZA.



Lord Monteagle of Brandon ukończywszy 82 rok życia, postanowił ożenić się. Wybranką jego serca została 81-letnia szwagierka Mrs. Julja, Emma, Izabella Spring Rice. Para ta, którą w żadnym wypadku nie można nazwać młodą, z największą trudnością dotarła do urzędu stanu, gdyż zarówno on, jak i ona są ciężko chorzy na nogi.

NA ZAKRĘCIE ŚMIERCI.



Na wyścigach w Detroit zderzyły się dwa auta. Przez ułamek sekundy jedno z nich wisiało w powietrzu, aby zaraz potem opaść i pojechać dalej. Kierowcom, ani wozom nic się nie stało.

ANGLJA GROZI.



Sensacją dnia było przemówienie ministra angielskiego Sir Samuela Hoare, wygłoszone na posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie (na zdjęciu), na którem zajmowano się konfliktem włosko-abisyńskim. Sir Hoare dał niedwuznacznie do zrozumienia, że Anglja przeciwstawi się z całą stanowczością napadowi Włochów na Abisynję, uważając, że wszelkie spory należy rozstrzygać pokojowo, bez użycia przemocy. Ponieważ instrumentem tej polityki pokojowej jest Liga Narodów, przeto Wielka Brytanja, stojąc na gruncie poszanowania traktatów i międzynarodowych zobowiązań całym swoim autorytetem tę instytucję poprze.

HRABIA LUCKNER W GOŚCINIE U ANGLIKÓW.



Największym postrachem handlowych okrętów koalicyjnych w pierwszych latach wojny światowej był żaglowiec „Orzeł morski", który zmyliwszy czujność pancerników angielskich wypłynął na Atlantyk i tam siał sztraszliwe spustoszenie, zatapiając mnóstwo statków. Korsarski ten okręt, ścigany przez flotę angielską i japońską rozbił się na Oceanie Spokojnym. Komendantem tego statku był hr. Luckner, który wkońcu dostał się do niewoli angielskiej, zdołał jednak dwukrotnie uciec i zyskać sobie światowy rozgłos. Ten narodowy bohater niemiecki na zaproszenie grona swoich wielbicieli z Anglji, którzy nawet we wrogu umieli ocenić bohaterstwo, udał się Croydon, gdzie go serdecznie powitano.

ZE SOWIŃCA.



Kopiec Marszałka z każdym dniem rośnie sypany rękami pielgrzymów, przybywających z całej Polski. Na zdjęciu członkowie zespołu operetki wileńskiej w czasie pracy na Sowińcu. M. in. widoczni M. Nochowiczówna, Lulowska i M. Matówna.

W KUŹNI „TWARDEGO POKOLENIA".





Attaches zagraniczni, m. in. dwaj polscy oficerowie przyglądają się defiladzie oddziałów szturmowych przed Hitlerem. Atlantic.

Kanclerz przyjmuje defiladę na placu Hitlera w Norymberdze.



I Oddział szturmowy S. S. (Monachjum) ze „sztandarem krwi". W oddziele tym mogą służyć tylko najbardziej rasowi przedstawiciele Niemiec, czyli elita rasy. Scherl.

W Norymberdze odbył się t. zw. dzień partyjny, na który zjechało około 150.000 Hitlerowców. Równocześnie obradował Reichstag i zlot młodzieży. Kanclerz Hitler zabierał kilkakrotnie głos, zwracając się ostro przeciwko Komiternowi i żydom. Drugą mowę wygłosił o programie artystycznym Niemiec i obowiązkach państwa wobec sztuki, a trzecią o stanowisku kobiety niemieckiej. Kulminacyjnym punktem uroczystości norymberskich było poświęcenie stu nowych sztandarów partyjnych, które polegało na dotknięciu ich „sztandarem krwi", który był świadkiem pierwszych walk Hitlera w 1923 r. o władzę. Wszystkie przemówienia kanclerza, jak i innych dostojników, były nastrojone na jedną nutę: musimy wychować nowe pokolenie, twarde i niezłomne, zdolne do heroicznych wysiłków.

Z XV TARGÓW WSCHODNICH WE LWOWIE



31-go sierpnia br. otwarte zostały we Lwowie XV Targi Wschodnie, które w tym roku przedstawiały się szczególnie interesująco i okazale. Na ilustracji widzimy p. Ministra Przemysłu i Handlu Floyara Rajchmana, który dokonał otwarcia Targów Wschodnich, opuszczającego pawilon główny w towarzystwie Wojewody Beliny-Prażmowskiego i dyrektora Targów Wschodnich dr Jasińskiego.

WYPRAWA NA CHOCIM.



Odbijamy od polskiego brzegu w Okopach Św. Trojcy na upragnione wino do Rumunji...

Było to w sierpniu 314 lat po zwycięstwie pod Chocimem, gdy w pogodny ranek nasz autobus wyruszył z Zaleszczyk w stronę Okopów Św. Trójcy. Elastyczne balony autobusu z chyżością polskiej husarji przecinały podolskie łany, tocząc się śladami Chodkiewiczów i Sobieskich, w kierunku iglicy polskiej, najbardziej wysuniętej ku wschodowi. Okopy Św. Trójcy i imponujące bramy wjazdowe wstrzymały pęd wehikułu kolejowego na bitej drodze. Rzucamy pośpiesznie okiem na ruiny naszej dawnej potęgi na rubieżach i kierujemy się w stronę małego domku, na którym błyszczy w blasku podolskiego słońca Orzeł Biały, a pod nim napis: „Urząd Celny w Okopach Św. Trójcy“.

Przed Mohortem, broniącym interesów naszej skarbowości, ustawia się „ogonek“ z 26-tu osób. Wąs szumiasty i cwikier, nasunięty na koniec nosa ozdabia opaloną twarz urzędnika. Celnik badawczym okiem obrzuca nas od stóp do ciemiączek, poczem wyrokuje:

— Wszelkie przedmioty wartościowe proszę bezwzględnie zgłosić. Zatajenie ich grozi następnie konfiskatą.

Na pierwszy ogień idzie dama z „pierwszorzędnego“ rzędu foteli w autobusie, w wieku pobalzakowskim. Zawsze jest pierwsza, nawet przy rewizji celnej.

— Czy pani posiada brylanty, złoto, jedwabie? — pyta celnik.

— Owszem, pierścionki. Ten oto jest zaręczynowy, ten z pierwszego małżeństwa, a ten to od obecnego męża...

— Więc razem pięć. Co więcej?

Dama robi zażenowaną minkę i cichutkim alcikiem szepce:

— Czy kombinacje jedwabne też mam zgłosić?

— O ile posiada pani dwie pary, należy jedną bezapelacyjnie pozostawić.

Kolejno dowiaduję się, kto w naszym autobusie jest „burżujem“, jak również, które pary są „słomianemi małżeństwami“ na wywczasach. Złota szczęka zgłoszona przez pewnego urodziwego starszego pana wprawia władze, jak również i nas, w śmiech całą „gębą“. Korowód burżuazyjnych turystów zamykam ja, zgłaszając tylko złoty humor, który nie podpada przepisom celnym. Z tym najcenniejszym skarbem odbijamy od brzegu polskiego, by po paru minutach wysiąść już na rumuńskiej ziemi „obiecanej“, słynącej z dobrego wina. Małe besarabskie koniki wywożą nas z jaru dniestrzańskiego na równinę, pokrytą łanami kukurydzy i słoneczników. Monotonny ten krajobraz zamykają gdzieś na horyzoncie wysmukłe topole. To właśnie Chocim, chluba naszego oręża. Z lewej zaś strony, za wstęgą połyskującego Dniestru wpatrzony jest w nas Żwaniec. Tu właśnie dnia 30 sierpnia 1621 roku stanął królewicz Władysław ze swem wojskiem, zdążając na pomoc Chodkiewiczowi. Z domina białych domków wyróżniają się stare świątynie, cerkiew i kościół, dziś zamienione na spichlerze kołhozów. Po godzinie wjeżdżamy do historycznego Chocimia. Stare, zmurszałe domki przypominają nam rosyjskie miasteczka na wschodzie, pokryte dziesięciocalową warstwą brudu i kurzu. Kontrastem w tem mieście jest wybudowany przez Rumunów teatr, jak również i brama triumfalna na cześć króla Karola. Bo Chocim, to nie zapadła dziura gdzieś na północy Rumunji, to już miasto, posiadające światło elektryczne, bataljon wojska i policję, regulującą ruch uliczny gumowemi pałeczkami. Mam cały szacunek dla tej pałeczki rumuńskiej. Ona to właśnie wskazała mi drogę do upragnionego nektaru — do wina. W minutę potem stół w podrzędnej restauracji zastawiony był flaszkami wina pół i cało wytrawnemi. Bo jak tam nie pić? Średnie wino waha się już od 80 groszy za litr do 1.50 zł. Jak spragniony wielbłąd na pustyni, tak piłem kolejno zdrowie całej królewskiej rodziny. Z humoru dopiero wywnioskowałem, jak liczną jest rodzina królewska. Miłą libację przerwał nam przewodnik, który z zaparciem siebie lokował nas na wozy, które w chwilę potem z turkotem uwiozły nas do ruin zamku.

Po drodze złożyliśmy jeszcze wizytę miejscowemu dowódcy garnizonu, prosząc o pozwolenie na wykonanie paru zdjęć dla „Światowida“. Wizyta wypadła nadspodziewanie pomyślnie, może jedynie dlatego, że pan pułkownik zmęczony obowiązkami służbowemi, urządził sobie drzemkę poobiednią. W stu procentach wywiązał się z zadania uroczy adjutant-żona. Teraz dopiero wiem, że nietylko w świecie, ale i w Rumunji mają również wpływ na pułkowników żony. Nic dziwnego, że za taką wyświadczoną uprzejmość dwukrotnie ucałowałem rączki przemiłemu adjutantowi.

U bram twierdzy chocimskiej wita nas żołnierz rumuński, który dość chętnie nas przepuszcza. Grzeczność za grzeczność — powiedziałem sobie, wyciągając polskiego egipskiego. Mijamy bramy wjazdowe o kolosalnej grubości. Imponujące mury zachowane są do dnia dzisiejszego, a konserwowane przez władze rumuńskie wprawiają widza w zadumę. Sięgamy myślą przed laty, kiedyto z tych murów Chodkiewicz, Sapieha, Zenowicz, Opaliński, Lubomirski i Sobieski wypluwali z gardzieli armat kilkunasto-funtowe kule na mrowie Turków. Twierdza chocimska pochodzi z czasów rzymskich. Tędy to prowadził dawny szlak handlowy między morzem Czarnem a Bałtyckiem. Według źródeł historycznych, na miejscu dzisiejszej twierdzy wybudowali ongiś kupcy weneccy, zdążający Dniestrem z towarem do Polski, zameczek obronny, który był zarazem składnicą przeładunkową towarów. Z biegiem lat Turcy i Tatarzy umocnili i rozbudowali tę warownię. Po klęsce pod Cecorą w 1620 r. wyruszył hetman Chodkiewicz w r. 1621 z 35.000 wojska polskiego i 40.000 kozaków pod Chocim, gdzie stanął dnia 1 sierpnia. Walka trwała pod murami Chocimia około miesiąca. Definitywnego zwycięstwa nie doczekał się jednak Chodkiewicz. Znękany i wyczerpany wódz umarł dnia 21-go września w mieście Chocimiu. Śmierć wodza w szeregach wojska polskiego zatajono, a dowództwo objął Stanisław Lubomirski, który w dniu 28 września rozgromił Turków. Sukces ten był jednak połowiczny. Dopiero rozprawił się z Turkami pod Chocimem hetman Sobieski, wspierany artylerją Kąckiego 11-go listopada 1673 r.

Do dnia dzisiejszego u wejścia do twierdzy są złożone kule, które pochodzą z tych czasów, a któremi został zasypany obóz Husseina. W r. 1812 traktatem w Bukareszcie przechodzi Besarabja na rzecz Rosji, a tem samem i Chocim. Dopiero po wojnie światowej Chocim wraz z Besarabją zostaje włączony do Rumunji.

— — — — — — — — — — —

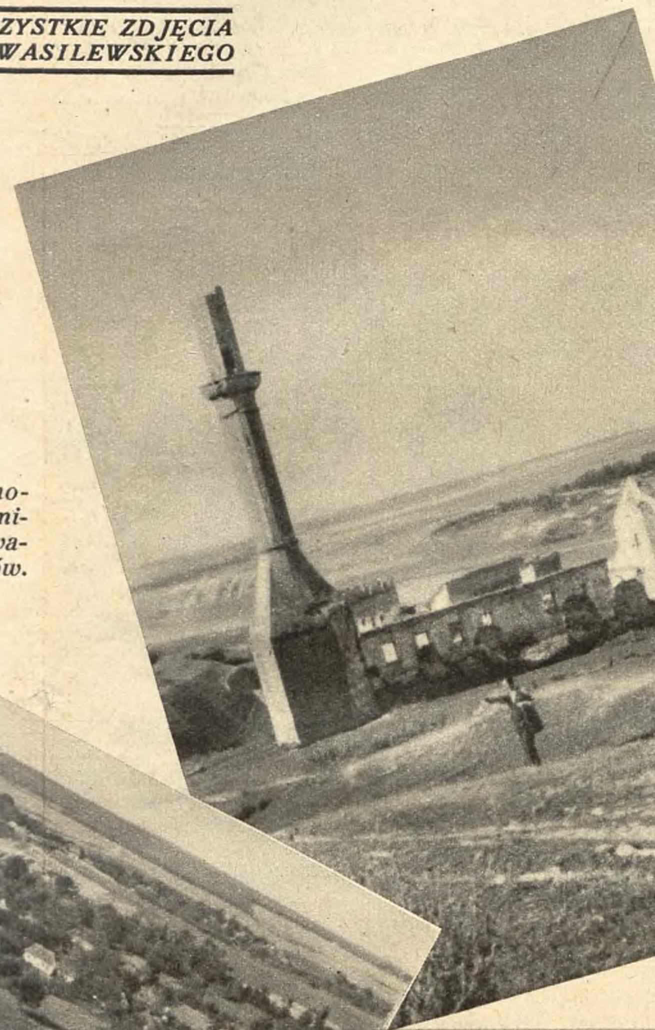
Zachodzące słońce maczało jeszcze swe ogniste groty w jarze dniestrzańskim, gdy pełni wspomnień wracaliśmy promem do naszego brzegu. Na piaszczystej przystani oprócz stałych bywalców w Okopach Św. Trójcy p. Białkowskiego i Pągowskiego, artystów teatru miejskiego w Krakowie, witał nas nasz przyjaciel celnik ze słowami:

— Co państwo wieziecie?

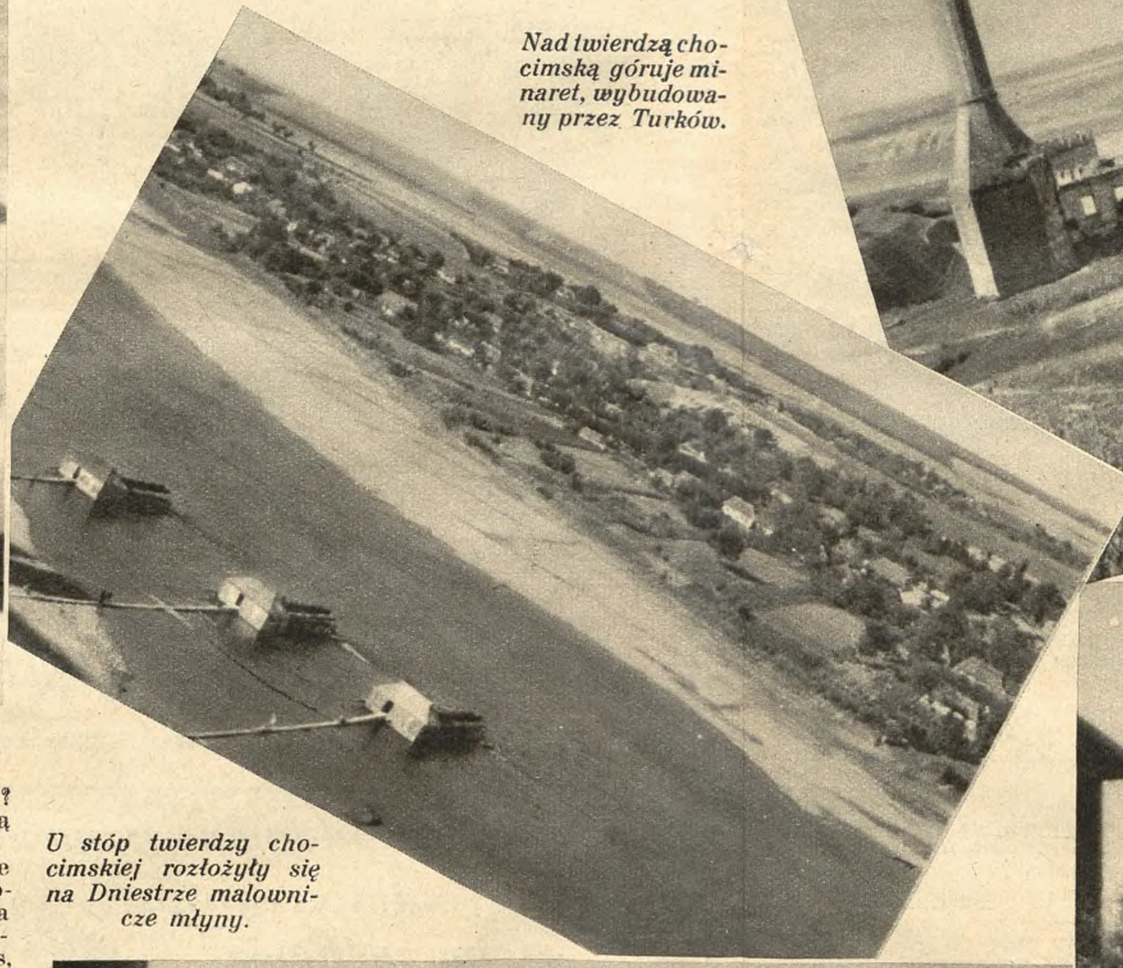
— Dobry humor i przemiłe wspomnienia, z któremi podzielimy się, o ile zwróci nam pan nasze „zastawione“ skarby!...

Antoni Wasilewski.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA A. WASILEWSKIEGO



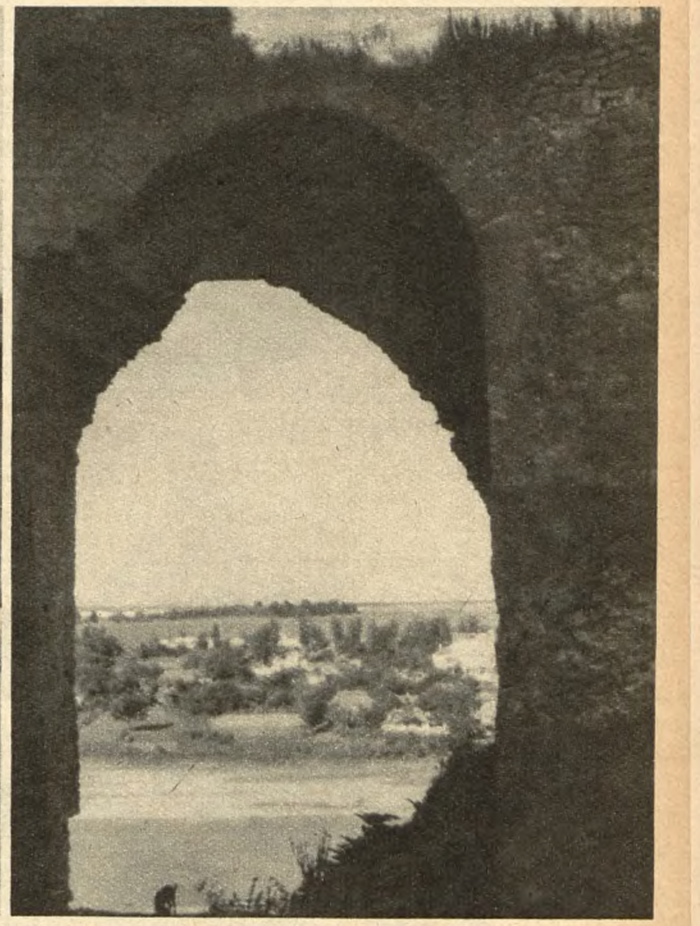
Nad twierdzą chocimską góruje minaret, wybudowany przez Turków.



U stóp twierdzy chocimskiej rozłożyły się na Dniestrze malownicze młyny.



Majestatyczne ruiny zamku chocimskiego pilnie są strzeżone przez żołnierzy rumuńskich.



Fragment ruin zamku w Chocimiu z widokiem na wioskę sowiecką Braha.



„Kupić nie kupić, potargować można“ na jarmarku chocimskim.

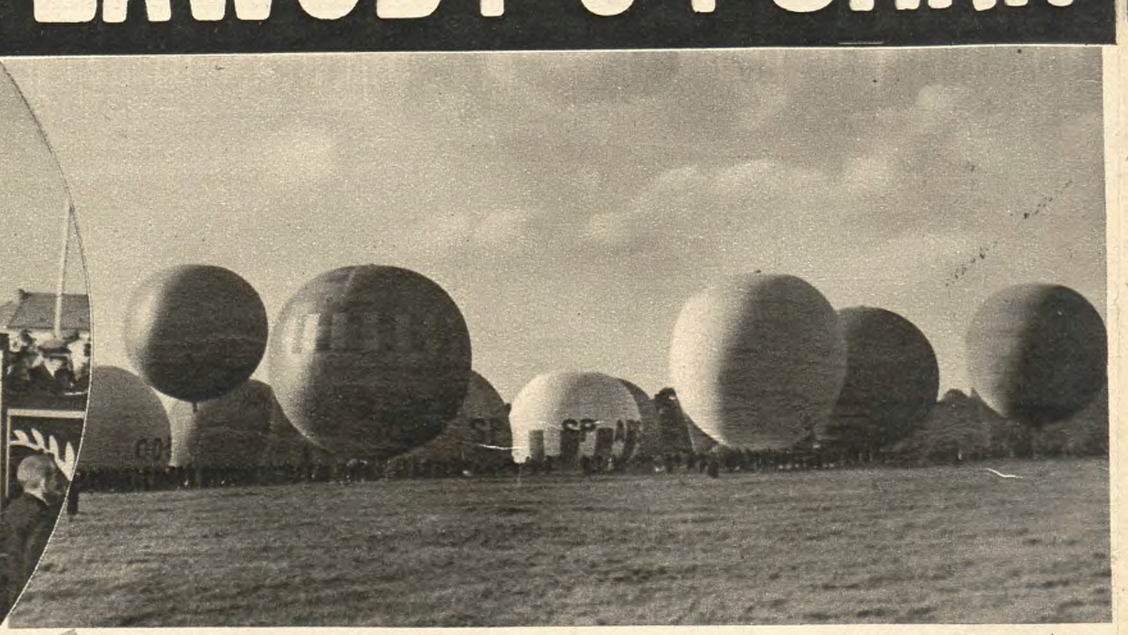


Czas do domu czas...

ZAWODY O PUHAR GORDON BENNETTA



P. Prezydent Rzpltej z małżonką i p. Premjer Sławek w loży honorowej na polu Mokotowskiem.



Park balonowy.



Przepełnione trybuny.



Podczas napełniania balonów gazem.

Od czasu, gdy sławetny „challenge" przeszedł do historji, cała sympatja publiczności zawodów lotniczych przeniosła się na wyścig balonowy o nagrodę Gordona Bennetta.

Ludek warszawski ochrzcił już te zawody mianem „Gordon Beniek" i w ubiegłą niedzielę hasłem powszechnem było:

— Idziemy na Gordon Beńka!

Rzeczywiście tego dnia na lotnisko śpieszyli wszyscy, jak jeden mąż.

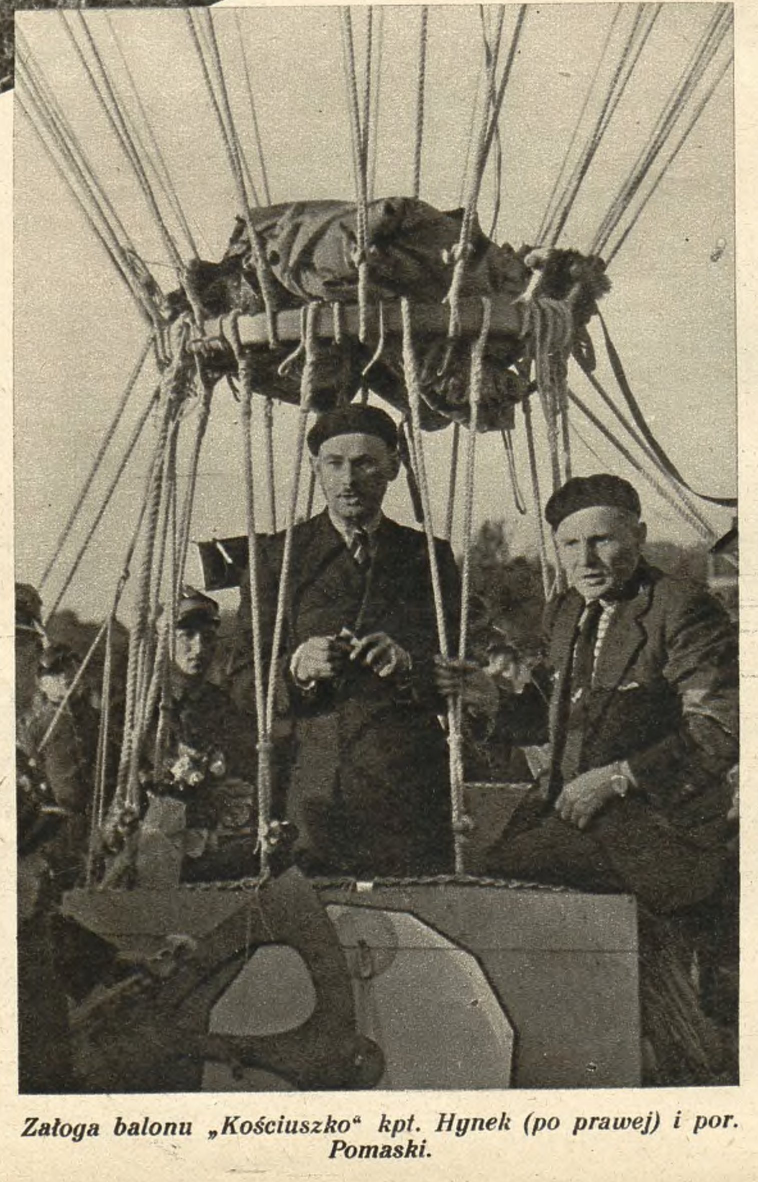
Już od samego rana napełniano gazem ogromne balony, a uczestnicy zawodów ładowali do gondol najrozmaitsze przyrządy, z których najłatwiej jeszcze się nazywał „radjogoniometrograf"...

Wśród nich krążyły pewne panieneczki, harcerki, niby do wykonywania zleceń, a faktycznie głównie zajmujące się zbieraniem autografów, zwłaszcza zawodników polskich. Odbywał się potem nawet handel zamienny. Każdy aeronauta miał swoją cenę i to niezawsze zgodną z wartością lotniczą. Naprzykład według „cen rynkowych", jakie nam się udało „ustalić" — najwyżej ceniony był kpt. Burzyński, który kosztował „dwa Hynki", a „Wawszczaków" i „Januszów" trzeba było aż trzy dawać za Burzyńskiego. Co komu po „dwóch Hynkach"? Okazuje się, że jednego się brało „dla siebie", a drugiego, jako monetę obiegową, za którą można było „nabyć" co innego.

Cudzoziemcy także byli oblegani o autografy. Tu mniej już grasowały „podfruwajki", a więcej już rozkwitające niewiasty.

Zapytujemy dwóch szykownych poruczników marynarki amerykańskiej, pilotujących wspaniały balon „U. S. Navy", jak im się podobają Polki?

Por. Howard Orville odpowiada nam:



Załoga balonu „Kościuszko" kpt. Hynek (po prawej) i por. Pomaski.

— Są, jak dzisiejsza pogoda: promienne, słoneczne, jasne...

— Ale miejmy nadzieję, że nie tak wietrzne — dodaje jego towarzysz por. Raymod Tylor.

Za lotniskiem odbywają się wyścigi konne.

Jeden z aeronautów francuskich p. Albert Boitard mówi nam:

— Szkoda, że na wyścigach balonowych niema totalizatora, jak na konnych. Bo wtedy i częściej odbywałyby się i zarobiłbym dużo pieniędzy.

— Na czem?

— Postawiłbym cały majątek na balony polskie, które spewnością przyjdą pierwsze do mety. To zupełne „pewniaki".

Na balonie „Deutschland" startuje jeden starszy pan, a jeden młodszy.

Zapytujemy starszego pana:

— Pański młodzieńczy towarzysz, to zapewne uczeń pański?

— Uczeń też — brzmi odpowiedź — ale przedewszystkiem zięć. Moja córka jest ogromnie zazdrosna, a ponieważ musi opiekować się chwilowo chorą matką, powiedziała mi więc: „Tatusiu, zabierz Wernera ze sobą na balon. Wydaje mi się, iż tam przynajmniej mogę być pewna, że mnie nie zdradzi".

Od godziny czwartej balony stopniowo odrywają się od ziemi i odlatują w przestworza.

Najgłośniejsze oklaski i najżyczliwsze pożegnania przypadają, oczywiście, balonom polskim.

Kpt. Burzyński, faworyt płci pięknej, odlatuje ostatni. Jest dużo czasu, można nim nacieszyć wzrok. Wreszcie i on wznosi się na „Polonji" i wartko szybuje w przestworzach. Kobieciątka wzdychają tęsknie. Jedna mówi:

— Ach, jak on bosko leci... Och, gdyby choć w drobnej części tak leciał... na mnie..., jak ja na niego...

Ale Hynek i Pomaski także nie mogli narzekać na brak sympatji. Gdy wznieśli się na swym „Kościuszce", wielbicielki zaintonowały chórem:

— Patrz, Kościuszko, na nas z nieba... — na melodję znanego poloneza.

„Kościuszko" był już bardzo wysoko, gdy wtem jakiś samolot oderwał się od ziemi i pomknął w ślad za nim.

Ktoś na trybunach odzywa się:

— Ma widocznie coś do powiedzenia Hynkowi na ucho... Przy wszystkich nie chciał, więc teraz mu tam na górze powie w sekrecie.

— A może Hynek co zapomniał i tamten mu przywozi?

— Może... Albo tabliczkę czekolady mu wiezie na drogę...

Balony niemieckie okazały się jakoś ociężałe. O ile nasze i francuskie wzbiły się odrazu lekko w górę, o tyle niemieckie unosiły się stosunkowo słabo i odrazu wysypywały mnóstwo piaskowego balastu.

Na trybunach mówiono:

— Niemiec, jak to Niemiec... Sypie piaskiem w oczy...

Jakiś lwowiak zawołał nawet po swojemu:

— Nie trza piasku...!

Nic nie pomagało. Niemcy w dalszym ciągu wysypywali piasek i powiewali flagą ze swastyką.

Na miejscach stojących kilku panów o purpurowych nosach prowadzi ze sobą taki dyskurs:

— Mój Boże, takiemu balonowi to dobrze... Jak jest pod gazem, to unosi się w powietrze i lata sobie, jak ta ptaszyna Boża... A jak ja jestem pod gazem, to na nogach ustać nie mogę i zamiast wzlecieć, to jeszcze się wywracam... I żadnego puharu nie dostanę... nawet marnego kieliszka mi nie dają... A jakby to było dobrze... Wracasz podgazowany do domu, małżonka chce ci dać po łbie, a ty nic, tylko wzlatasz pod niebiosa i nie może cię ona, megiera, złapać.

Drugi zaś mu mówi:

— Dlatego Franuś, że ty zawsze po wódeczce śledzika, albo minogę wtrajasz, więc ci tak ciąży, że już wzlecieć nie możesz... A ty spróbuj czystej wypić cały taki puhar Gordon Bennetta bez żadnej zagrychy, to taki gaz ci się we wnętrzu zrobi, że polecisz het, daleko...

— Wiesz, że to dobra myśl... A ile to będzie taki puhar?

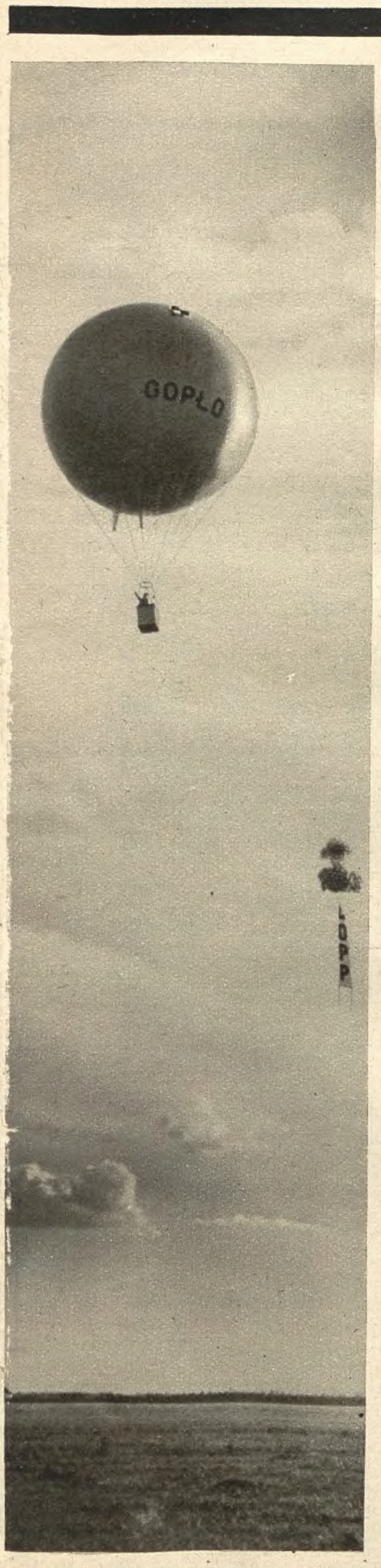
— Nie wiem dokładnie, ale myślę, że chyba ze dwie litrówki...

— No to, chodźmy, Franuś, patrz już balony wszystkie poleciały. Może ja je jeszcze dogonię...

* * *

W chwili, gdy oddajemy ten numer do druku, wyniki zawodów nie są jeszcze znane. Jak dotąd wylądowały: balon „Deutschland" w miejscowości Kemeru pod Rygą, przebywszy 600 km, „Zurüch III" również pod Rygą, balon niemiecki „Albert Hildebrandt" w pobliżu Kliczewa między Mohylewem a Bobrujskiem w Rosji sowieckiej, balon francuski „Lorrain" na Białorusi sowieckiej 20 kilom. na północny-wschód od Kostiuchnowicz, balon belgijski „Bruxelles" w miejscowości Lubicz koło Homla, balon „Kościuszko" na Ukrainie sowieckiej, przebywszy 1.300 km., a „Warszawa II" obok Stalingradu po przebyciu 1.600 kilometrów.

Zauważyć należy, że w roku ubiegłym najdłuższa trasa, przebyta przez ówczesny zwycięski balon „Kościuszko" z załogą pp. Hynka i Pomaskiego wynosiła 1353,5 km.



Balon „Gopło", który wystartował poza konkursem z pocztą balonową.



Słynny lotnik belgijski Demuyter wpisuje się do księgi pamiątkowej.



Z okazji zawodów balonowych Aeroklub R. P. zorganizował zlot gwiaździsty, w którym wzięła udział także p. Gudrun Marja Osterkamp, znakomita lotniczka niemiecka, żona kilkakrotnego uczestnika Challenge'u. Przybyła ona do Polski, aby wygłosić odczyty na temat olimpjady berlińskiej. Na zdjęciu pani Osterkamp po wylądowaniu na lotnisku poznańskiem

PANI I JEJ PIES

Impresje sensacyjnego konkursu w Warszawie.



Ballerina Teatru Wielkiego p. Janina Kaniewska ze swemi ostrowłosemi foxami „Maćkiem i Basią".



Rasowe pekińczyki Bingo i Patsy, własność p. Henrietty Szampanjerówny.



W ub. niedzielę odbył się w Warszawie konkurs piękności psów. Na zdjęciu dog-arlekin „Dumny", własność p. Marji Kniaziołuckiej, odznaczony pierwszą nagrodą publiczności.

Już dawno żadna impreza tak nie zemocjonowała Warszawy, jak konkurs psiej piękności, który odbył się w ub. niedzielę w ogródku popularnej kawiarni warszawskiej p. n. „Sim".

Co najpiękniejsze Warszawianki defilowały z swemi „psiakami", „psiaczkami", „psinkami", „psineczkami" i „psiuchnami" przed jury, złożonem z przedstawicieli malarstwa, rzeźby, prasy



P. Halina Sobolowa ze swym pekińczykiem „Joko".

i... towarzystwa ochrony zwierząt. Wśród publiczności padały niekiedy piękne aforyzmy, częściej zgryźliwe uwagi, a najwięcej... plotek...

Ktoś rzekł n. p. z głębokiem westchnieniem:

— Im lepiej poznaję kobiety, tem bardziej lubię ich... psy...

— Rozumiem cię — mówi drugi — pies nie potrzebuje co zima nowego futra. Ma jedno, które mu wystarcza na całe życie. Nie mówiąc już o kapeluszach, obuwiu i toaletach...

Pewna czarująca niewiasta mówi:

— Gdyby mój mąż był mi tak wierny, jak mój pies, tobym... chyba zwarjowała. Nie miałabym chwili spokoju...

Pewien pan zapytuje swoją towarzyszkę:

— Kto to jest ta efektowna brunetka z takim wspaniałym dogiem?

— Mogę ci powiedzieć najzupełniej dokładnie, mon cher... To jest córka znanego przemysłowca, która wyszła za mąż za fortancerza, ale rozwiodła się z nim, bo zakochała się w pewnym rotmistrzu i wyszła za mąż za niego, bo żona tego rotmistrza z nim się rozwiodła, żeby wyjść za mąż za pewnego redaktora naczelnego jednego z dzienników, który wszakże wkrótce się z nią także rozwiódł, bo postanowił się ożenić z pewną hrabiną, ex-gwiazdą filmową, co wyszła za mąż za pewnego hrabiego, ale potem się z nim rozwiodła, żeby wyjść za mąż za owego redaktora naczelnego, rozumiesz?

Aby znać się na wszystkich rasach demonstrowanych piesków, trzeba być fachowcem... oraz lingwistą. Naprzykład piękne włochate psy piszą się „airdale", a wymawiają „erdel", co prowadzi do takich rozmówek:



P. Isia Relidzyńska ze swym „airdale-terrierem".

— Jakiej rasy jest to cudo?

— To „erdel", drogi redaktorze, prawda, jaki śliczny? — poczem następuje pieszczota, budząca dziką zazdrość w duszy męskiej i słodkie słówka — to erdel, erdel, mój erdelmerdel kochany, erdelek-merdelek cudny, ach, ty, ty, mój brzydalu! Czarująca artystka p. Kazia Skalska pokazuje nam właśnie takiego „erdela" i mówi:

— Nazywa się Ariel i jest ojcem tego małego „erdelka", którego tu oto trzymam na ręku.

— A jak się synek nazywa?

— Tony...

— Można wiedzieć, dlaczego?

— Owszem, bo jego matka jest własnością hr. Tony Sobańskiego. Więc na cześć właściciela, który mi swej suczki łaskawie udzielił dla mojego Ariela... rozumie pan?

— Aha... świetnie.

Tuż obok ballerina teatru Wielkiego p. Janina Kaniewska prezentuje dwa małe czteromiesięczne ostrowłose foxy. Nazywają się: Maciek i Basia i są rodzeństwem.

Artystka filmowa jasnowłosa p. Wanda Zawiszanka ma ślicznego „pekińczyka", który się nazywa „Czang" i budzi ogólny zachwyt swych psich konkurentów...

Córka znanego literata p. Isia Relidzyńska szczyci się także pięknym „airdale-terrierem", była zaś tak pomysłowa, że włożyła bronzowy kostjum „pod kolor" swego ulubieńca. Otrzymuje też w wyniku zaszczytne odznaczenie.



Artystka filmowa Wanda Zawiszanka z pekińczykiem „Czang".

Poza tem konkurowały ze sobą dwie... cukiernie, sąsiadujące ze sobą przy Al. Jerozolimskiej, rywalizujące, jak się okazuje, nietylko co do gości. Właścicielka jednej z tych cukierni zachwycająca blondynka p. Sobolowa zaprezentowała równie zachwycającego „pekińczyka" — „Joko", a na to p. Czaplińska, właścicielka drugiej cukierni, pokazała aż cztery pekińczyki, z których jeden podobno ma już aż 12 medali. Gdyby tak w jednej cukierni dawano cztery ciastka za tę samą cenę, co w drugiej jedno, ha, wtedy wybór byłby nietrudny, ale tak...

Konkurencja zogniała się coraz bardziej. Przecież aż 45 pań pokazywało swe pociechy. Im dłużej to trwało, tem większe zniecierpliwienie okazywały zarówno pieski, coraz głośniej szczekające, jak ich panie, coraz ciszej, ale zjadliwiej się nawzajem „obszczekujące".



Artystka dramatyczna p. Kazimiera Skalska ze swym „Arielem".

Wreszcie padł upragniony wyrok. Najzupełniej odmienny ze strony jury i publiczności. W głosowaniu jury zwyciężył bowiem „setter" p. Wojtowiczowej, a licznie zebrana publiczność przyznała palmę pierwszeństwa prześlicznemu rzeczywiście „dogowi-arlekinowi" p. Kniaziołuckiej. To wspaniałe zwierzę wabi się „Dumny". Urocza właścicielka może być z niego śmiało... dumna.

Lin.

Jesień wytwornej Pani...

Piękna polska jesień wolno, dyskretnie, lecz nieubłaganie zwiastuje swe prawo do królowania.

W świecie mody zagadnienie nowego okrycia futrzanego wysuwa się zatem na czoło zakupów jesiennych eleganckiej pani. Rzecz zrozumiała, że nie każda z pań będzie mogła pójść za ostatnim krzykiem mody i zaopatrzyć się w piękne nurki, foki, breitschwanze, czy gronostaje. Jednak wytworne kobiety, dla których te drogocenne futra są przeznaczone, już bacznie śledzą to wszystko, co w dziedzinie futer przyniosła moda.

Obecny sezon 1935/36 ukazał się pod znakiem długich peleryn o kroju kimonowym i raglanowym. W garderobie pięknej pani honorowe miejsce winno zająć w tym roku futro z breitschwanzowych karakułów, posiadających silny połysk i układających się jak jedwab.

Dla orjentacji warto zaznaczyć, że w obecnym sezonie Paryż i Londyn lansują nurki, brązowe gronostaje, foki, szare i brązowe breitschwanze, a do sportu leopardy i jasne brązowe karakuły.

Dwa modele, jakie dzisiaj reprodukujemy, uzyskaliśmy od największego i najbardziej cenionego w kraju magazynu i pracowni Maksymiljana Apfelbauma.

W dziedzinie obuwia moda zwróciła się w kierunku skórek reniferowych i giemzowych. Pozatem na spacer przedewszystkiem krokodylowe. Piękne panie niemniej poświęcają czasu i uwagi na nakazy mody w tym kierunku, rozumieją bowiem doskonale, że wśród szczegółów toalety obuwie zajmuje jedno z najważniejszych miejsc.

Wytworna pani, jeżeli nawet posiada tylko kilka par bucików, doskonale je dobiera do toalet i dostosowuje się do pory dnia.

Te kilka modeli pantofelków, jakie dziś zamieszczamy, są ostatniemi kreacjami Lucjana Leszczyńskiego. Rzecz oczywista, że fotografja nie uwydatni zasadniczych walorów bucika. Podkreślić wypada, że Leszczyński całą swoją wiedzę fachową zużytkowuje tak, aby stworzyć modele jak najbardziej wyszukane i oryginalne, któreby nietylko podkreślały naturalny wdzięk kobiecej nóżki, ale również podnosiły przez wytworny fason całość postaci.

O najnowszych kreacjach toalet pomówimy w jednym z następnych numerów „Światowida", po powrocie z Paryża naszego dyktatora w tej dziedzinie, Boguchwała Myszkorowskiego.

M. Do.



Wspaniała kreacja z brązowych gronostaji. Forma kimonowa, lekko skloszowana. Model firmy Maksymiljan Apfelbaum — Warszawa.



P. Roma w pelerynie z fok. Clou sezonu 1936. Model firmy Maksymiljan Apfelbaum Warszawa.



Cztery modele pantofelków giemzowych i reniferowych. Piękne nóżki pani K. nabrały w nich jeszcze większego powabu. Wszystkie modele z firmy Lucjan Leszczyński — Warszawa.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. DORYS — WARSZAWA

PIĘCIOPŁATNICA

Marja HESSEL

POWIEŚĆ

7)

Zaliczano go do najznakomitszych uczonych ówczesnej doby. Mimo młody wiek, liczył bowiem niespełna trzydzieści cztery lata, uniwersytety krakowski i paryski kilkakrotnie proponowały mu objęcie katedry nauk przyrodniczych, lecz dr. Cuma nie chciał przyjąć stanowiska. Był on znakomitym teoretykiem, ale praktykiem wprost nieporównanym i w dodatku zamiłowanym — fanatykiem przyrody i pracy w bezpośredniem zetknięciu z nią. Jego „eksperymenty" botaniczne, jak je nazywano, były sławne i wprawiały w zdumienie ludzi najgłębszej wiedzy.

W odległości kilkunastu kilometrów od Paryża założył olbrzymią cieplarnię i hodowlę kwiatów, przy której mieszkał stale. W pracowni tej stwarzał, jemu tylko znanym sposobem krzyżowania gatunków, wspaniałe rośliny, które wędrowały potem przeważnie na dwory cesarskie, lub do magnackich pałaców za cenę, niejednokrotnie opiewającą w tysiącach.

Benedykt Cuma był z pochodzenia Polakiem. Na pytania nieświadomych Francuzów, gdzie leży jego ojczyzna, odpowiadał złośliwie, że na końcu świata, bo o miedzię na wschód, i że niewolę swoją zawdzięcza przyjaciołom. Wogóle był to człowiek niedostępny, cyniczny, zamknięty w sobie i ponury, usposobiony wrogo do ludzi i świata. Usposobienie to miało swoją głęboką podstawę. Los nie we wszystkiem uszczęśliwia swych faworytów: oto dał Benedyktowi genjalny umysł, sławę, niewyczerpaną energję życiową i żelazne zdrowie przy nadludzkiej sile fizycznej, ale za to pozbawił go wartości, decydującej niejednokrotnie o całem życiu człowieka: urody!

Cuma był tak odrażająco, tak potwornie brzydki, tak nieprzyjemny zewnętrznie, że kto po raz pierwszy zetknął się z nim i spojrzał mu w twarz, cofał się przerażony, jak na widok śmierci i przez wiele dni nie mógł otrząsnąć się ze strasznego wrażenia.

Był wzrostu tak wysokiego, że najwyżsi ludzie nie sięgali mu do ramienia. Muskularne mięśnie znamionowały nadzwyczajną siłę, ale postać jego była niezgrabna, chuda, pochylona w plecach. W niekształtnej, szpetnej twarzy uderzały przedewszystkiem oczy: anormalnie wielkie, szeroko otwarte, koloru jasnego seledynu, miały wejrzenie tak przejmujące, że wejrzenia tego nikt nigdy nie wytrzymał bez drżenia. Była w niem nieokreślona jakaś moc, płynąca z samych głębin posępnej duszy tego człowieka.

Mówił głosem niskim, dość przyjemnym, ale ohydnie wykrzywiał przy tem sine wargi, z za których zwisały ku dołowi twarzy, jak u dzika, dwa długie ostre kły. Zadarty nos o dużych otworach, cera ziemista i ciemna od ciągłego przebywania na słońcu, wreszcie bujne rudawe włosy, sterczące, rozrzucone w wiecznym nieładzie, dopełniały całości.

Dla nieprzeciętnego umysłu i sławy miał zwolenników, ale było ich bardzo niewielu; pozostała nieporównana większość unikała go, gdyż we wszystkich budził fizyczny wstręt, a przedewszystkiem trwogę. Zdawał sobie z tego sprawę, więc unikał ludzi, których znienawidził. U nikogo nie szukał zrozumienia, ni sympatji. — Zamknął się w swej willi za Paryżem, niejednokrotnie nie opuszczając jej całemi miesiącami i pracował gorliwie w cieplarni, a gdy robił swoje własne „eksperymenty", nawet służbie nie wolno było przeszkadzać mu.

Służba bała się go panicznie, bo zresztą we wszystkich budził strach, a był przytem ostry i wymagający, lecz nie miała do niego niechęci, gdyż spełniających ślepo jego wolę traktował po ludzku i był hojnym panem.

Pewnego dnia botanik, zmęczony długą i żmudną pracą doświadczalną, sprzykrzył sobie swoją samotnię. Wezwał służącego i wydał rozkaz, by zaraz wytoczono karetę z wozowni.

W chwilę później jechał do Paryża. Jechał bez celu, ot tak, by słuchać wielkomiejskiego gwaru, by dać odmianę i spoczynek zmęczonej głowie.

Zaledwie wjechał w miasto, wpadły mu w oczy jaskrawe płachty afiszów, donoszących o występie jakiejś nieznanej dotąd nikomu śpiewaczki, Marji Larosse. Kazał woźnicy zawieść się na ten koncert, kupił jakieś odosobnione miejsce, by jak najmniej narazić się na ludzkie spojrzenia i obojętnie czekał na rozpoczęcie się koncertu.

Wreszcie debjutantka wyszła na estradę. Dr Cuma ujrzał drobną, wysmukłą dziewczynę, ginącą niemal w różowych zwojach tiulu. Wielkie piwne oczy były spłoszone i lękliwe jak u dziecka. Mała, śliczna twarz tonęła w słonecznej jaśni włosów, opadających na śnieżne ramiona, okrągłe, lecz jeszcze pół dziecinne.

Na widok jej znieruchomiał, jakby wrósł w krzesło. Zachwyt zdławił go za gardło, utrudniając mu oddech. Nie mógł oderwać od niej oczu. Wydawała mu się promienną gwiazdą, która przypadkiem spadła na ziemię.

Marja Larosse uśmiechnęła się. Publiczność poczęła oklaskiwać ją żywiołowo, ale Cuma nie przyłączył się do niej: nie był w stanie zdobyć się na jakiekolwiek poruszenie.

Rozpoczął się koncert. Benedykt zasłuchał się, zapatrzony nieruchomo w oblicze śpiewaczki, zapomniał o tem, gdzie jest i co się z nim dzieje...

Wreszcie pierwsza część koncertu skończyła się. Teraz dopiero Cuma wybuchnął: zerwał się z krzesła, krzyczał coś, bił brawa, walił w podłogę potężnemi nogami — odchodził od zmysłów! Szary jakiś tuman przesłonił mu oczy, a w tym tumanie widział tylko różowe tiule i wiosenną postać dziewczęcą. Momentalnie cały świat zmienił dla niego formę i dźwięk, wszyscy wydawali mu się sympatyczni i bliscy, bo zachwycali się n i ą, bo j e j bili brawa.

Francuzi zauważyli wreszcie niezwykłe podniecenie tak zawsze spokojnego botanika. Poczęli śmiać się i dowcipkować, ale Cuma nie słyszał nic. W zimne serce potwora wpadło cudne ziarno uczucia, które w ciągu najbliższych dni urosło do rozmiarów obłędnej miłości.

Dotychczas kobiety uciekały od Benedykta Cumy, a on sam unikał ich, mając dla nich pogardę i niechęć. Lecz w sercu jego tlał ogień tęsknoty, którą ukrywał starannie. Teraz ogień ten wybuchnął z niewypowiedzianą siłą i zmienił się w pożar, który ogarnął wszystkie zmysły Cumy. Rano budził się z radosną świadomością, że cały dzień będzie mógł marzyć o niej, a wieczór ujrzy ją. Po powrocie z teatru kładł się z rozkoszą do łóżka wiedząc, że obraz umiłowanej dziewczyny nawiedzi go we śnie. W Paryżu był teraz codzień, nie opuścił żadnego występu Marji. Ale nie przyjeżdżał sam: towarzyszył mu lokaj, uginający się pod ciężarem kosza z kwiatami, za które — gdyby chciał je sprzedać — otrzymałby każdą sumę. — Wszystkie inne, których mnóstwo otrzymywała zawsze Marja, wydawały się przy nich pospolite i blade, gdyż Cuma w chęci uczynienia przyjemności kochanej kobiecie, poprostu przechodził samego siebie.

Taksamo zarzucał kwiatami jej prywatne mieszkanie. Lokaj przynosił je i znikał jak duch, gdyż taki otrzymał rozkaz. Marja mimo to wiedziała, od kogo otrzymuje te kwiaty. Przedewszystkiem powiedzieli jej o tem ludzie, a powtóre nazwisko Cumy znała dobrze, jak każda Paryżanka. Wprawdzie słyszała niejednokrotnie o strasznej brzydocie genjalnego przyrodnika, ale jakoś nigdy nie widziała go osobiście, zresztą kobieta w osądzaniu swych wielbicieli nigdy nie jest zbyt ostrą. Marja była dziewczyną młodą, nęciła ją sława i bogactwa, taki zaś człowiek, jak Cuma, dysponujący ogromnym majątkiem, mógł nietylko dopomóc jej w zrobieniu karjery artystycznej, ale jeszcze ją samą opromienić blaskiem swego genjuszu i sławy.

Pewnego dnia, gdy Marja, ubrana i gotowa do wyjścia, miała udać się do teatru na próbę, stanął przed nią, w jej własnym pokoju, jakiś młody mężczyzna. Dostał się tam mimo sprzeciwów pokojowej i złożył Marji Larosse głęboki ukłon.

— Czy pozwoli mi pani odwieźć się do teatru?

Marja nie mogła zdobyć się na odpowiedź, zaskoczona, zdumiona i onieśmielona.

— Jestem Ludwik de Contades. Czy mogę służyć pani moim powozem, który czeka przed bramą?

Jasna twarz Marji okrywała się zwolna różową łuną, gdyż młody człowiek pochłaniał ją oczyma. Resztki dziewczęcej nieśmiałości walczyły w niej z kobiecą kokieterją, wreszcie rozkoszny uśmiech rozchylił jej usta. Wyciągnęła do pana de Contades swą małą rączkę.

— Miło mi będzie skorzystać z pańskiej uprzejmości, panie hrabio!

Ludwik uwięził tę rączkę w obu dłoniach i długo przyciskał do ust.

Nazajutrz cały Paryż wiedział już o tem, że hrabia de Contades przywiózł Marję do opery. Plotkowano o tem przed przedstawieniem.

Gdy dr Cuma usłyszał to, ponury cień przesłonił mu twarz. Zaraz podczas pierwszej przerwy odszukał oczyma rywala. Zobaczył wytwornego, młodego chłopca, pięknego jak efeb grecki. W sympatycznych oczach młodzieńca wyczytał szczęście — i niepokój wkradł się w duszę Benedykta. Natychmiast zrozumiał, że współzawodnictwo z tym chłopcem, gdyby nawet miało zakończyć się zwycięstwem, będzie walką długą i ciężką.

Ale nawet w tem przeliczył się, walka ta bowiem nie miała się odbyć wcale. Ludwik de Contades wszystkich swych rywali usunął nazawsze w cień. Przestali istnieć dla Marji.

Ludwik co wieczora przywoził ją do teatru, a po występie odwoził do domu. Codzień rano, gdy tylko budziła się, pokojowa przynosiła jej do łóżka skromny pęk wilgotnych, ponsowych róż. Witała je pocałunkiem, przeznaczonym dla Ludwika, który przysyłał te róże. Nierzadko w słoneczne południa widywano ich oboje razem w powozie, oznaczonym herbem hrabiów des Contades. Marja przeżywała czarowny sen pierwszej miłości. Ludwik szybko zauważył, że gorące jego uczucie zostało odwzajemnione i pławił się w szczęściu, jak kwiat w słońcu.

Pewnego dnia, gdy Marja nie miała żadnego występu, Ludwik zaprosił ją do siebie. Przechadzali się po ogrodzie, wśród rozkołysanej wiatrem zieleni. Nagle Ludwik zatrzymał się, objął Marję ramionami, przytulił do piersi i okrywając pocałunkami jej twarz zapytał wprost, czy chce być jego żoną.

Marja oniemiała. Nigdy nie myślała o tem, by Ludwik mógł ją poślubić, może dlatego, że kochała go naprawdę. Przytem zdawała sobie sprawę z tego, że hrabia de Contades, potomek znakomitego rodu, jest dla niej — dziecka średniej klasy społecznej — niedostępny. Widziała i czuła dobrze, że Ludwik kocha ją. Świadomość ta napełniała ją szczęściem, ale nie budziła w niej nigdy żadnych nadziei, jak każda miłość prawdziwa, a więc bezinteresowna.

W Ludwiku zaś zamiar ten dojrzał od dawna. Przekonał się, że Marja nie jest typem przeciętnej, zarozumiałej aktoreczki, zamierzającej zrobić karjerę drogą świetnego zamążpójścia. Nie zwracała przecież uwagi na miljonera, Benedykta Cumę. Ludwik, jak wszyscy, dobrze wiedział, jaką namiętność rozpętała w sercu niezwyciężonego dotąd botanika. Ale właśnie dlatego, może w podświadomej obawie, postanowił jaknajszybciej upewnić się co do uczuć Marji i zatrzymać ją dla siebie na zawsze.

Zdumienie Marji upewniło go jeszcze, że nie pomylił się w swym sądzie o niej. Widocznie nie oczekiwała takiego obrotu sprawy, skoro proste jego pytanie tak ją zaskoczyło. I gdy patrzyła na niego z niedowierzaniem, niemal przerażona, nie mogąc zdobyć się na żadne słowo, powtórzył:

— Marjo, czy chcesz być żoną moją?

— Ależ panie hrabio...

— Marjo, droga moja! Czy nie wiesz, że kocham cię? Jesteś jedyną istotą, którą potrafiłbym zaślubić i jeżeli tego nie zrobię, to tylko wtedy, gdy odmówisz mi! Nie powiem, że zabiłbym się wówczas, ale wiem napewno, że życie moje stałoby się bardzo ciężkie i bardzo smutne, a nawet straciłoby dla mnie urok na zawsze. Więc zrezygnuję z ciebie tylko wtedy, gdy powiesz mi, że kochasz innego.

— Ludwiku! — krzyknęła Marja, rzucając mu się na szyję.

Jej słodkie oblicze płonęło szczęściem. Wyznanie miłości nie potrafiłoby przejść jej przez usta, ale w oczach jej tyle było szczerego uczucia i wzruszenia, że Ludwik chwycił ją w objęcia, śmiejąc się, jak mały chłopiec.

— Maleńka moja! słodka! jedyna!

Wziął ją na ręce i biegał po ogrodzie, wreszcie posadził ją na murawie, przy krzewach róż.

— Marjo, kiedy się odbędzie nasz ślub?

— O! czyż naprawdę tak bardzo ci się spieszy? Nie wiem jeszcze. Narazie nie myślę o tem. Jestem przecież twoją. i będę tylko twoją! Czy źle nam jest tak, jak jest?

— Nie, Marjo, ale chciałbym jaknajprędzej nazwać cię swoją żoną i wiedzieć napewno, że nikt mi cię nie zabierze! Jesteś klejnotem, którego pilnie strzec trzeba.

Uśmiechnęła się do niego bez słów. Słońce padało na jej jasne włosy i Ludwik po raz wtóry odniósł wrażenie, że ma przed sobą gwiazdę.

W kilka dni później cały Paryż mówił o zaręczynach Marji Larosse z młodym hrabią de Contades. Zresztą Paryż ten zbyt dobrze znał Ludwika, by choć na chwilę przypuścić, że uczyni Marję swoją kochanką. Było już pewnem, że śliczna śpiewaczka zostanie hrabiną de Contades.

Dr Cuma zorjentował się wreszcie, że fundament, na którym budował całe swoje życie, chwieje się. Żył w rozpaczy i męce. Łudził się, że w opowiadaniach ludzkich jest dużo przesady, że zaręczyny nie zostały przecież oficjalnie ogłoszone, że wreszcie świetne urodzenie Ludwika stanie na przeszkodzie do małżeństwa ze śpiewaczką, choćby ona nawet była tak piękną i utalentowaną, jak Marja.

Benedykt znał interesowność kobiet i choć Marję uważał za istotę nierównie wyższą od innych, jednak podświadomie liczył na urok swego nazwiska i miljonowego majątku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



HANNA WAŃSKA

rozpoczęła karjerę sceniczną w operetce Teatru Miejskiego w Bydgoszczy. W latach następnych występowała w Poznaniu, Wilnie, Warszawie i Częstochowie, stwarzając szereg doskonałych kreacyj, np. w „Kwiecistej drodze“ i w „Pocałunku przed lustrem“. Obecnie została zaangażowana do Teatru Polskiego w Katowicach.

Fot. „ARS“ — Wilno.

INAUGURACJA SEZONU TEATRALNEGO W POZNANIU.



W dniu 1 września otworzył swe podwoje poznański Teatr Narodowy pozostający od 4 lat pod dyrekcją Zbigniewa Szczerbowskiego. Teatr Narodowy gości w Poznaniu zaledwie kilka dni poczem wyrusza na objazd województw: poznańskiego, łódzkiego i warszawskiego. Teatr zainaugurował sezon popularną sztuką „Chata za wsią" według powieści Kraszewskiego. Wśród zespołu złożonego z sił aktorskich o nieprzeciętnym talencie wybija się nietylko zdolnościami i ekspresją sceniczną, ale również aparycją zewnętrzną młodziutka i urocza p. Lala Sroczyńska, którą fotografja przedstawia w roli Azy. P. Sroczyńska rozpoczęła karjerę sceniczną na deskach Teatru Nowego w sztuce: „Jak stać się bogatym", w której zwróciła na siebie uwagę swemi warunkami scenicznemi i grą.

„WYPRAWY KRZYŻOWE"



Loretta Young i Henry Wilcoxon, przepiękna para kochanków z filmu „Wyprawy krzyżowe" reżyserji Cecila B. de Mille'a. Fot. „Paramount".

Nazwisko Cecila B. De Mille'a znane jest dobrze szerokiej publiczności. Był on twórcą takich filmów, jak „Król królów", „W cieniu krzyża", „Bezbożne dziewczę" i wielu innych. Cecil B. De Mille jest pionierem kinematografji, pracującym niestrudzenie od 20 lat na tem polu.

Obecnie znakomity ten reżyser stworzył nowy film „Wyprawy krzyżowe". Wartkie tempo, głęboki, podniosły nastrój, niezwykle subtelnie przeprowadzona intryga miłosna już od pierwszych scen trzymają widza w napięciu. Imponująca wystawa, bogate wnętrza, kostjumy, przepiękna muzyka, brawurowe zdjęcia, oto walory filmu.

Obsada niezwykła: piękna i pełna wdzięku Loretta Young, Henry Wilcoxon, znany z filmu „Kleopatra", Ian Konth, jako wódz Saracenów, C. Aubrey Smith, w roli pustelnika, Józef Schildkraut, jako przewrotny hrabia de Montferrat, Alan Hale — romantyczny trubadur, George Barbier — król Navarry, Montague Love, jako bohaterski kowal, Katherine De Mille, jako siostra króla Francji i wielu, wielu innych. Film ukazał się już na naszych ekranach.



Henry Wilcoxon w roli Ryszarda Lwie Serce, bohatera filmu „Wyprawy krzyżowe", reżyserji Cecila B. de Mille'a. Fot. „Paramount".

›KOCHAJ TYLKO MNIE‹



Znicz, Lidja Wysocka i Zacharewicz w filmie polskim p. t. „Kochaj tylko mnie". „Leo-Film".

„SEN NOCY LETNIEJ"



Zdjęcie powyższe ukazuje nam sławnego reżysera i reformatora teatralnego Maksa Reinhardt'a, realizatora wspaniałego filmu p. t. „Sen nocy letniej", w otoczeniu artystek i artystów, biorących udział w nakręcaniu tego obrazu. Fot. Warner Bros First National Fimls.

GRETA GARBO I WILLIAM POWELL.



Greta Garbo odtwarza rolę Anny Kareniny w filmie „Metro" pod tym tytułem. Film „Anna Karenina" otrzymał ostatnio puhar Mussoliniego na wystawie w Wenecji. Partnerem Grety Garbo jest Fryderic March.

METRO
GOLDWYN
— MAYER —

Dwie niezwykle silne indywidualności filmowe Ameryki, Greta Garbo i William Powell, wystąpią w nowych filmach a mianowicie: Greta w „Annie Kareninie" (reżyserja Clarence Browna), przyczem partnerem jej będzie Fryderyk March, a William Powell w filmie „Dla Ciebie tańczę", grając z Jean Harlow.

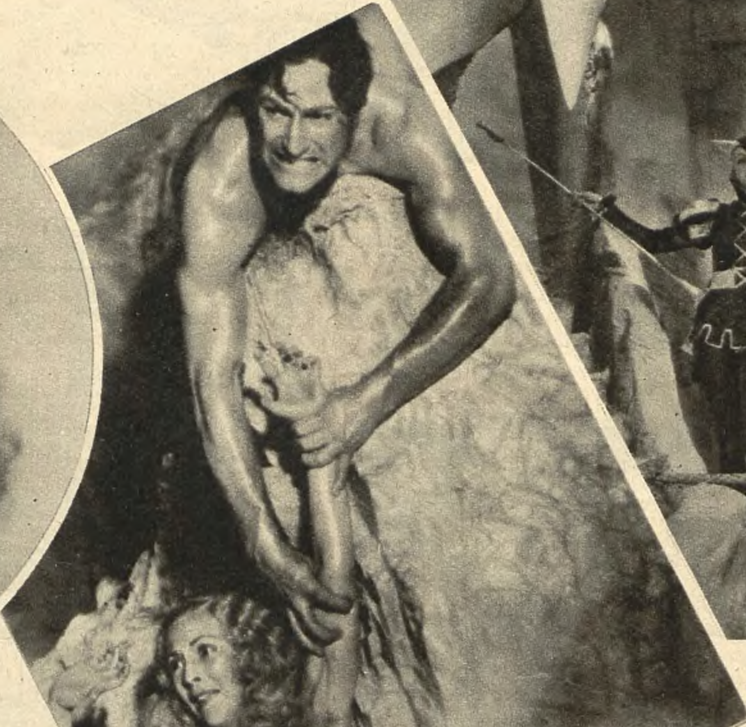


William Powell jest partnerem Jean Harlow w świetnym filmie „Dla ciebie tańczę".

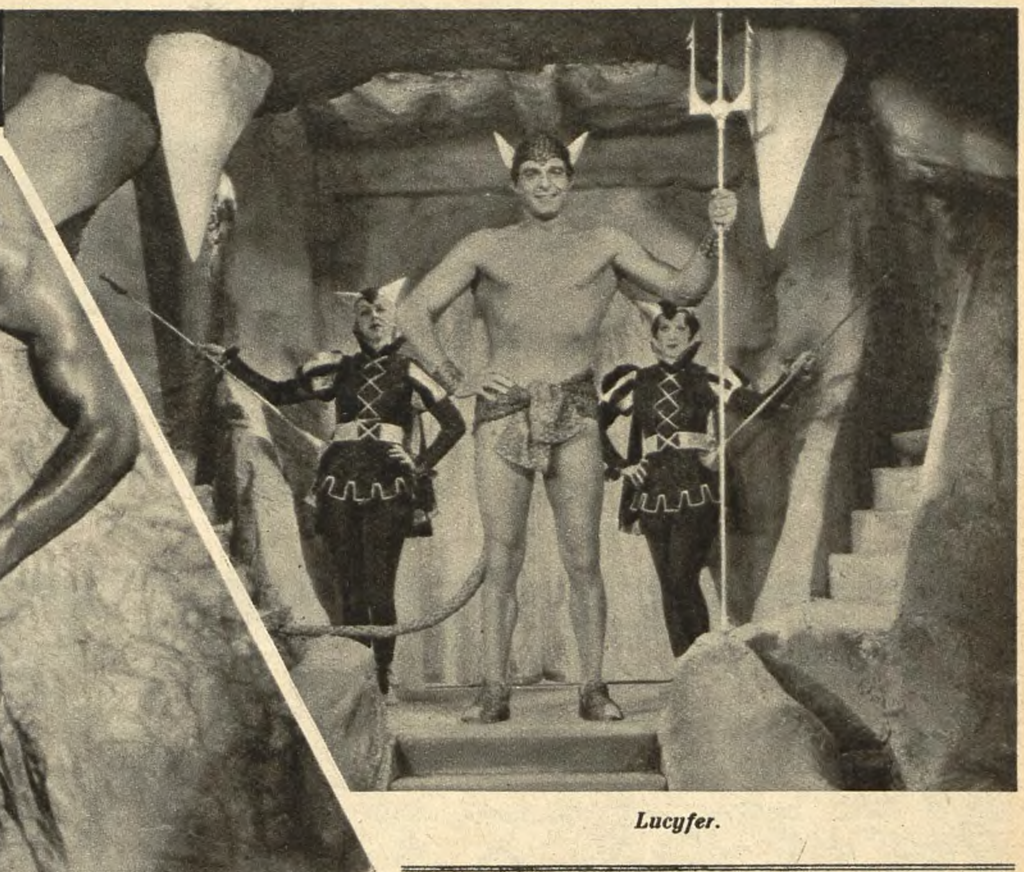
„PIEKŁO"



Marie Trevor kreuje główną rolę w monumentalnym filmie Foxa p. t. „Piekło".



Scena z filmu „Piekło".



Lucyfer.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA „FOXA".

OSTATNIE PREMJERY WARSZAWY.



W Warszawie powstał nowy teatr, zwany „Teatrem Malickiej“, w którym wystawiono dwuosobową komedję R. Niewiarowicza p. t. „... i co z takim robić...“. Obsadę stanowi Marja Malicka i Z. Sawan. Na zdjęciu Marja Malicka w głównej roli tej sztuki. „Foto-Forbert“.

W „Urodzinach“ Bus-Feketego, wystawionych na deskach Teatru Polskiego wzruszająco grają rolę matki i córki Dulębianka i Tatarkiewicz-Woskowska. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

Jeżeli Hemar się uprze, to potrafi napisać w ciągu czterech dni trzyaktową komedję „Dwaj panowie B“, ale — zasadniczo — nie jest to człowiek uparty, dlatego nie zawsze chce mu się pisać i często „środa“ znaczy u niego „piątek“... w następnym tygodniu. Co go skłoniło do napisania na termin całego programu w „Cyruliku Warszawskim“ — niewiadomo. Widocznie miał dwudniowy atak szału roboczego i machnął jedenaście numerów, a wszystkie — dobre. Mimo, iż cały drugi program „Cyrulika“ jest jednego pióra, nie jest on monotonny i stoi na rzadko spotykanym obecnie w kabaretach poziomie. Pomógł Hemarowi w tym względzie zespół aktorski, dla którego warto było pisać. Mira Zimińska, Lena Żelichowska, Dora Kalinówna, Stefcia Górska, Zosia Terne, Michał Znicz, Edmund Minowicz i inni, z „pyskaczem“ — takie polskie określenie, proponuję zamiast obcego „conferencier“ — Fryderykiem Jarossym na czele, zainterpretowali hemarowskie subtelności w pierwszorzędny sposób. Program „Na jeża“ jest artystycznie tak doskonały, iż w danym momencie „Cyrulik Warszawski“ wysunął się na czoło w wyścigu teatrów warszawskich o letnią nagrodę powodzenia.

Bo co do innych teatrów — to... niebardzo.

Teatr Polski wystawił życiorys sceniczny w 6 rozdziałach Bus-Feketego p. t. „Urodziny“. Rzecz oryginalna w pomyśle, jak wszystkie sztuki węgierskie, jest kroniką perypetyj miłosnych węgierskiego Casanovy, aptekarskiego syna, i demonstruje jego przygody od 15-go do 65-go roku życia, w odstępach co 10 lat. Wartości to żadnej niema, ale napisane jest zręcznie i dość dowcipnie, tylko, że dowcipy odpowiadają często poziomowi nieboszczyka „Bociana“. Józef Węgrzyn, grający bohatera komedji, jest za wielką klasą, aby mógł źle zagrać, jednak rola ta nie jest dla niego odpowiednia i wolimy zobaczyć go jako „Króla Leara“, który niedługo ukaże się na tejże scenie.

Teatr Narodowy wystawił od lat niegraną komedję Scribe'a i Legouvé'a „Walka kobiet“, w której ongi święciła triumfy Modrzejewska. Przy odpowiedniej obsadzie, mogła być komedja ta jako dokument stylu dramatycznego owej epoki, widowiskiem antykwarjalnie ciekawem, jednak w Teatrze Narodowym obsadzono ją błędnie, używając do tego artystów tej miary, co M. Ćwiklińska, W. Brydziński, T. Wesołowski i zmuszając ich do interpretowania nieswoich ról. Winien jest tu letni niekompletny zespół aktorski.

Z tego również powodu błędnie obsadzono w Teatrze Letnim francuską farsę Letraza „Kubuś“, która zresztą jest taką bzdurą, że wogóle nie było warto jej obsadzać. Męczy się w niej doskonały aktor Kurnakowicz, w nieodpowiedniej dla niego roli młodego charakterystycznego amanta, męczy się w fertnerowskiej roli B. Samborski, i jeszcze parę osób. Poco?

Najszczęśliwiej wyszedł z letniej opresji Teatr Mały, w którym angielska farsa L. E. Huxley'a „Wiosenne porządki“ okazała się rzeczą bezpretensjonalną, ale miłą, o zdrowym sensie, przy sytuacjach farsowych. Wszyscy wykonawcy — Z. Lindorfówna, Z. Kajzerówna, J. Warnecki, K. Justjan, S. Grolicki, F. Norski, K. Kempa i M. Nobisówna — zagrali komedyjkę tę bardzo dobrze.

Jako wielki znak zapytania powstała w Warszawie nowa scena: „Teatr Malickiej“, na otwarcie którego odegrana została dwuosobowa komedja R. Niewiarowicza p. t.: „...i co z takim robić...“, w interpretacji M. Malickiej i Z. Sawana. Sztuczka — naiwna, oparta na ogranych sytuacjach, ale zręcznie napisana. Marja Malicka powtarza w niej w taniem wydaniu swoje poprzednie role komedjowe, a p. Sawan jedynie... dobrze wygląda, bo do takiej partnerki, jak p. Malicka, jeszcze nie dorósł. Poco powstał ten teatr? Bez zespołu? Z jakim repertuarem? Narazie — znak zapytania. Czekamy, co dalej...

Zast.

Teatr Polski w Warszawie wystawił ostatnio życiorys sceniczny Bus-Feketego p. t. „Urodziny“. Na zdjęciu scena zbiorowa z „Urodzin“ w interpretacji (od lewej): Węgrzyna i Wasiutyńskiej, Lubieńskiej i Damięckiego, oraz Bukojemskiej i Mileckiego. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.





„Cyrulik warszawski“ ukazał nam ostatnio interesujący „Program Nr. 2“ pod ogólnym tytułem „Na jeża“, napisany w całości przez znanego literata i poetę Marjana Hemara. Na zdjęciu finał części pierwszej p. t. „Sen nocy letniej“. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.



Marja Malicka i Zbyszko Sawan w jednej ze scen sztuki R. Niewiarowicza p. t. „... i co z takim robić...“.



Justjan i Lindorfówna w zabawnej komedji L. E. Huxley'a p. t. „Wiosenne porządki“, wystawionej z wielkiem powodzeniem na deskach Teatru Małego w Warszawie. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.



W Teatrze Letnim w Warszawie wystawiono krotochwilę Letraza p. t. „Kubuś“. Na zdjęciu Kurnakowicz, jako zapalony rowerzysta i wynalazca nowej „przekładni“ rowerowej, w jednej ze scen tej wesołej farsy. Fot. J. Malarski — Warszawa.

Odrodzenie stroju kaszubskiego.

Kaszubskie stroje ludowe zaczynają być znowu noszone. Fakt ten należy powitać z wielką radością, jako zdrowy objaw kaszubskiego regjonalizmu. Ulubioną barwą Kaszubów nadmorskich jest kolor niebieski, który przypomina im morze. Kolor ten przedewszystkiem dominuje w ubiorze męskim, jako granatowy, a w kobiecym z całą plastyką wyróżnia się w haftach, chustach, wstążkach itd. W stroju ludowym kaszubskim jest pstrokacizna wielka. W dzień powszedni kobiety noszą jasno-niebieskie, białokropkowane suknie neslowe, po których je w głębi powiatu morskiego łatwo poznać. Wiążą pod brodą białe chustki, stąd nazywa się je białkami. W dnie świąteczne dziewczęta ubierają czarny żakiecik, z krótkiemi połami, rodzaj serdaka, na haftki zapinany. Spięcie zakryte jest szeroką, w różne desenie zdobną wstążką, zwaną „przymilką". Oryginalną cechą stroju kobiecego na Kaszubach są czepce, a raczej chusty, wyszywane złotem i srebrem, zwane „rembowane muce". Czepce te, nieraz jedwabne, naszywane są małemi rąbkami, czyli koronkami i spadają na ramiona w fałdy. Pod serdakiem (kabatkiem po kaszubsku) jest bluza biała, posiadająca za całą ozdobę jedynie haft, ponad przegubem ramion. Serdak jest wyszywany złotemi nićmi z tyłu, tworząc oryginalny ornament„ jak również na piersiach, po bokach, tak, że spływająca od szyi wstążka w niczem go nie zasłania; dalszą częścią tego stroju jest biały fartuszek, zdobny u dołu koronką lub haftem. Spodnica jest marszczona w fałdy o jednym kolorze: niebieskim lub granatowym, szeroka u dołu. Fartuszek wraz z krótkim kabatkiem daje Kaszubce wiele wdzięku, jak również doskonale podkreśla całą figurę. Na nogach noszą zazwyczaj pantofle zapinane na jeden guzik o niskim obcasie. Męski strój jest skromny, gdyż składa się z krótkiej po szyję zapinanej kurtki, granatowych spodni oraz butów z cholewami. Młodzież rybacka zaś nosi w dnie powszednie ceratowe lub skórzane odzienie, oraz buty z długiemi bardzo cholewami t. zw. „skorznie". Okrycie głowy stanowi kapelusz ceratowy lub skórzany, a najczęściej granatowa czapeczka z daszkiem, podobna do maciejówki, z tą różnicą, że posiada wązką czarną wstążkę na daszku.

Wskrzeszony kostjum ludowy kobiecy w powiecie morskim, a przedewszystkiem w okolicach Pucka, jak również w samym tym pięknym grodzie nadmorskim, uderza w oczy swym skromnym a jednak tak efektownym wyglądem, gdyż utkany podług dawnej „mody" jaką tworzyły dziewczęta wiejskie, nosi w sobie smętek piaszczystych wydm nadmorskich i radosną krasę brzegu polskiego...

Alfred Świerkosz.



Idylla w opłotkach w dzień świąteczny na Kaszubach.



Haft kaszubski, noszony na rękawach stroju ludowego.



Kaszubski taniec ludowy zwany „koseder"



Wyroby garncarzy kaszubskich z okolic Kartuz.

WILEŃSKI TEATR DRAMATYCZNY U PROGU NOWEGO SEZONU.



Elżbieta Wieczorkowska.
Fot. St. Markiewicz, Poznań.



Mieczysław Szpakiewicz dyrektor teatru miejskiego.
„Foto-Studjo", 2-cia Szer, Wilno.

— Trzysta osiemdziesiąt pięć przedstawień, proszę pana, w przeciągu sezonu teatralnego 1934/35, to nielada praca w naszych ciężkich warunkach — zaczął rozmowę dziennikarską dyrektor M. Szpakiewicz, gdy „Światowid" niedyskretnie zapytał o bilans zeszłego i preliminarz nowego sezonu.

— Każde z przedstawień szło około dwudziestu razy, a pozatem teatr szkolny, teatr objazdowy, przygotowanie następnej premjery i ciągłe troski materjalne.

Były sztuki, które jak to zwykle bywa, cieszyły się specjalnem powodzeniem wileńskiej widowni, a do takich zaliczyć należy: Wolpiusa „Zwyciężyłem kryzys", „Kwiecistą drogę" a z klasycznego repertuaru „Hamleta" no i nigdy nie zawodną „Moralność Pani Dulskiej", która nietylko, że nie straciła barw dawnych, ale i dziś jest aktualną.

— Jak „dulszczyzna" cała zresztą. A nowy sezon dyrektorze?

— Rozpoczynamy go dnia 28 września, tradycyjnym Fredrą, „Damami i huzarami", a repertuarowo w najbliższym czasie mamy wystawić nową sztukę rosyjską „Przedziwny stop", „Edypa" Sofoklesa (dla teatru szkolnego), „Ich czworo", „Stare wino" Engla, „Nieboską komedję".

— A polskich autorów?

— Szukaliśmy, szperali, niestety nie wiele wartościowych rzeczy znaleźć można. Polskie dramatopisarstwo omija tematycznie chwilę bieżącą, nie chwyta życia fotograficzną kliszą żywego słowa, a co gorsze, że trudno by znaleźć w rodzinnym repertuarze prawdziwe wartości poetyckie. Nic nowego. Sezon zaś nowy postanowiliśmy poprowadzić w wysokiej klasie wartości literackich. Myślałem, że rostrzygnięcie konkursu na utwór sceniczny, zaaranżowanego przez Akademję Literatury, da coś nowego i wartościowego scenie polskiej, niestety jednak Akademja nie daje znaku życia, a prace jej złożone drzemią w papierowym śnie.

Polskiego pióra udało nam się znaleźć kilka wartościowszych rzeczy, które są w opracowaniu naszego doradcy literackiego p. Tadeusza Łopalewskiego. Są to: „Most" Piechala, „Łańcuch" Morawskiej, „Powrót Mamy" Jasnorzewskiej.

— Czy teatr nasz pozyskał współpracę nowych sił artystycznych?

— Tak. Z pań wystąpią na scenie m. teatru pp. Żmijewska Jadwiga, Wieczorkowska Elżbieta, Zielińska Lili, oraz dwie nowe siły kobiece na polskiej scenie, bezpośrednio po ukończeniu P. I. S. T'u: Masłowska Stanisława i Polakówna Janina. W miesiącach grudniu, styczniu i lutym, do szeregu ról udało się nam pozyskać pp. Zofję Barwińską oraz, co Wilnu będzie specjalnie miłe, p. Halinę Dunin Rychłowską, która na naszej scenie święcić będzie jubileusz trzydziestolecia zasłużonej pracy artystycznej.

Z mężczyzn powróci do Wilna: Alfred Szymański, pamiętny w wspaniałej roli króla, w „Zygmuncie Auguście" Wyspiańskiego, Henryk Mrożewski, Stanisław Siezieniewski. Reżyserję obejmuje ceniony kierownik sceny, zasłużony dyrektor teatru polskiego w Rydze, znany Wilnu i w Wilnie ceniony, Władysław Czengery.

— A teatr szkolny?

— Istnieć oczywiście będzie w dalszym ciągu i jest nadal naszem „okiem w głowie". — W sezonie ubiegłym daliśmy przeszło sto przedstawień, wobec szczelnie zapełnionej widowni najmilszą dla aktora publicznością — młodzieżą szkolną. Ankieta przeprowadzona w sprawie teatralnej wśród młodzieży, dała w rezultacie 12.000 odpowiedzi i uwag młodocianych widzów, z któremi się tak kierownictwo teatru, jak aktorzy, bardzo liczą, ceniąc sobie obserwację i krytykę, miłego i wrażliwego widza. W zeszłym sezonie na repertuar teatru szkolnego złożyły się sztuki: „Hamlet", „Śluby panieńskie", „Opowieść wigilijna", „Chory z urojenia", „Zaczarowane koło", „Ptak". Repertuar opracowujemy w porozumieniu z kuratorjum szkolnem, a rezultatem naszych wysiłków jest zainteresowanie i budzenie kultury teatralnej w młodych sercach i mózgach.

— Czy na tem zakończyć by wypadało już nasz wywiad?

— Jeszcze nie. Pozostaje sprawa teatru objazdowego. Autonomiczny, stanowiący jednak integralną całość z naszym teatrem, ma on nielada misję do spełnienia. Pokonywując przestrzeń i znane trudności komunikacyjne na północnowschodnich rubieżach ziem polskich, ma nieść on czar i kulturę żywego słowa, do najdalszych miast i miasteczek wileńszczyzny. Placówek objazdowych jest dwadzieścia dwie. Teatr ten poprowadzi w roku bieżącym p. Helena Zelwerowicz i Józef Orchoń. Poza tem teatr objazdowy występować będzie w 4 punktach najwiście z programem odpowiednim dla widza i widowni.

Feliks Dangel.



Stanisława Masłowska.
DORYS — Warszawa.



Władysław Neubelt i Irena Jasińska.
„ARS" — Wilno.



Lili Zielińska.
DORYS — Warszawa.



Wacław Scibor.
Fot. E. i B. Zdanowskich — Wilno.



Janina Polakówna.
St. Brzozowski — Warszawa.



Irena Jasińska w „Moralności Pani Dulskiej".
„ARS" — Wilno.



E. Ściborowa i A. Ładziński w sztuce „To więcej niż miłość".
„ARS" Wilno.

Z PRACOWNI WŁADYSŁAWA ROGUSKIEGO W POZNANIU.



Profesor Władysław Roguski w swej pracowni w Poznaniu.

Jeżeli malarstwo religijne z uwagi na wyrażone w niem uczucia ludzkie zajmuje w sztuce bardzo poważne miejsce i zwykle staje się wyrazem najgłębszych myśli narodu, który je wydał, to logicznie rozumując, również i wszystkie obrazy święte, zdobiące ściany tysięcznych domów, powinny pozostawać na pewnej wyżynie artystycznej i zasługiwać na miano dzieł sztuki. Tak niestety jednak u nas nie jest. Chociaż posiadamy malarstwo religijne bardzo ciekawe i cieszące się niebyle tradycją, to jednak ogół do dziś dnia hołduje gustom, które stawiają wyżej „bohomazy" religijne od prawdziwych dzieł sztuki. Na ten stan rzeczy nie wywarł żadnego wpływu ani Matejko, który przecież stworzył tyle pięknych malowideł treści religijnej, ani też Wyspiański, tak oryginalny w swych koncepcjach, ani Stachiewicz, Męcina-Krzesz, Unierzyski i inni. Obrazy ich stały się wprawdzie nieraz rewelacją artystyczną, wniosły wielkie walory do naszego malarstwa religijnego, promieniowanie ich jednak ograniczyło się do tych kilku tysięcy osób, stojących bliżej kultury malarskiej i kultury wogóle, pozostało w murach muzeów lub zbiorów prywatnych i poza nie nie wyszło. A jaka szkoda! Przecież właśnie Matejko i Wyspiański byli na najlepszej drodze do wprowadzenia do malarstwa religijnego cech czysto polskich, indywidualnych, nowych, któreby uczyniło je o tyle bardziej charakterystycznem. Przecież aniołki malowane przez Matejkę na ścianach kościoła N. P. Marji to typowe polskie chłopięta, odznaczające się płowemi słowiańskiemi puklami włosów i podobnie jak u Wyspiańskiego posiadają one niezaprzeczone piękno polskości. Jak widać więc, były w naszem malarstwie religijnem zadatki na podkreślanie w niem cech swoistych polskich, nie przeniknęły one jednak do tych wszystkich reprodukcyj obrazów świętych, które ogół kupuje, by przyozdobić niemi pokój sypialni, czy wogóle mieszkanie.

Większość obrazków świętych sprowadza się z zagranicy, przedewszystkiem z Niemiec, a następnie również z Francji, czasem z Włoch. Jeżeli reprodukcje te przedstawiają znane obrazy religijne, jak np. Madonna della Sedia Rafaela, lub też tycjanowskie lub rubensowskie sceny religijne, wszystko byłoby w porządku, gdyż są to bezwątpienia arcydzieła, dla których nie istnieją granice narodowościowe i które należą do dorobku kulturalnego całego świata. To samo oczywiście da się powiedzieć o reprodukcjach tradycyjnych naszych świętych obrazów, jak Matki Boskiej Częstochowskiej, Matki Boskiej Ostrobramskiej, lub innych mniej znanych. Znacznie jest gorzej, gdy reprodukcje wyobrażają domorosłe dzieła jakichś zupełnie nieznanych malarzy, którzy wogóle na to miano nie zasługują. Obrazy takie nietylko nie spełniają swej roli, jako normalnego bodźca dla ich właścicieli, ale również przyzwyczajają ludzi do uważania szkaradzieństw malowanych za arcydzieła sztuki.

Właśnie w środowiskach, w których sztuka jest mało znana i nie stanowi rzeczy codziennej, należałoby zwrócić uwagę na artystyczność obrazów świętych. Przecież i one w pewnym stopniu przyczyniają się do wykształcenia kulturalnego patrzących!

Ostatnio znany malarz poznański, p. Władysław Roguski, profesor Poznańskiej Szkoły Zdobniczej i twórca licznych pięknych i ciekawie pomyślanych dzieł, rozpoczął akcję celem spopularyzowania dobrych obrazów religijnych wśród szerokich sfer. Z całego cyklu nad wyraz oryginalnych a przedewszystkiem posiadających dużo cech polskich w dekoracji obrazów religijnych, prof. Roguski reprodukuje na początek obraz, przedstawiający Matkę Boską Zielną, który również pod względem kosztów przedstawia się znacznie lepiej, jak importowane z zagranicy. Właśnie te pewne cechy swojskości, to pewne udostępnienie tematów religijnych przez uczynienie ich bardziej zrozumiałemi i bliskiemi mają w tym zakresie duże znaczenie, trudno bowiem przypuszczać, aby u przeciętnego, pod względem artystycznym niewykształconego człowieka brzydki i nad wyraz konwencjonalnie pojęty obraz niemiecki zdołał wywołać silniejsze refleksje duchowe, jak obraz o cechach swoistych, o ciekawej kompozycji i oryginalnych walorach. Z tych to względów należy akcję prof. Roguskiego powitać z pełnem uznaniem. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, jakie znaczenie gospodarcze może mieć rozpoczynająca się akcja, która przecież pozbawi liczne wydawnictwa niemieckie ich polskich klijentów, przysparzając natomiast odbiorców polskim firmom.

Jan Maleszewski.

Uśmiech Gorczyńskiej...



Marja Gorczyńska, świetna artystka teatrów stołecznych zasyła Czytelnikom „Światowida" pozdrowienia z letnich wywczasów.

Szarada aktualna.

(Ułoż. „Estefi" — Warsz. Klub Szaradz.).

(Rozwiązaniem jest imię i nazwisko, którem obecnie zainteresował się niemal cały świat.)

W pięknym pałacu **całego**
raz-trzecie dwa czwarte-trzecie!
Bogactwa egzotycznego
pełno! Pozatem rupiecie!

Poddani głodni i goli,
wciąż tam **raz-cztery** wiatr z deszczem,
lecz Władcy stan ów nie boli, —
los gorzej mścić się chce jeszcze!

Zaborców **pląty** się zjawił
u granic dóbr, skał i gór,
a On? Jak opór im stawi?
Czem stworzy obronny mur?

W **trzy-szóstym** Ligi Pokoju
dwa-trzy jest serc — tyle skał!
Wśród grozy nieszczęść i znojów,
któż pomoc dać będzie chciał?

Wśród **plątych wstecznych** wspaniałych,
troską serdeczną znękany
w zadumie błąka się **Cały**,
próżno szukając obrony!

Oda do jesieni.

Szarada.

(Ułoż. J. Ursel-Wonschowa — Warsz. Klub Szaradz.).

Ty, co purpurą i złotem szafujesz
na świat rzucając barw przecudne tęcze!
Ty, co **raz-drugie** najpiękniej malujesz
i w słońcu pieścisz anemiczne pęcze!
Co pocałunki kładziesz na owoce,
z drzew je strącając w księżycowe noce!

Trzecia-czwór-piąta! na twoim rydwanie
ileż przepychu, ile barw i woni!
Jakież bogactwo twego rozpasania!
Każdy **trzy, dwa-trzy**, bo musi w tej toni, —
a ty, jak dobra i szczodra królowa,
skarby swe wszystkim dać jesteś gotowa!

Słońce wokoło jasne **czwór-trzy** blaski,
wietrzyk pachnące miodem niesie wonie,
drzewa się pysznią strojne w złote kaski, —
a tylko srebrem skrzą się moje skronie...
Jesieni życia! tyś w me złote kosy,
wpletła zdradziecko srebrno-białe włosy!

I dziś choć wszystko wokoło mnie płonie
niebo i ziemia — — dzisiaj w tej jasności,
jam osrebrzone pochyliła skronie,
tonąc w wspomnieniach prześnionej młodości...
I myśl uparcie w głębi mózgu wierci:
jesień — — — wnet zima — — — pamiętaj o śmierci.

I ty jesieni stracisz na urodzie,
zbraknie ci złota i różu niedługo...
Zapłaczesz deszczu strugami i w chłodzie
„babiego lata" wysrebrzysz się smugą...
Całość mróz zwarzy, — więc ostatnie słowo:
„Memento mori" złocista królowo!

Za rozwiązanie powyższych dwóch zadań, redakcja „Światowida" przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 października 1935.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 28 września 1935 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr-u 35.

REBUS: Tylko się marzeniem podróżuje za darmo.

SZARADA: Eliza Orzeszkowa.

Trafne rozwiązanie zagadek z N-ru 35 nadesłali:

Dr Helena Opielińska, Środa; Wacław Tyblewski, Poznań; Stanisław Nowicki, Poznań; Marjanna Granusz, Poznań; Prakseda Chęś, Poznań; Stanisław Kamiński, Warszawa; Antoni Sieramski, Warszawa; Bieniasz Leon, Lwów; L. Ogrodziński, Kraków; Marja Ochońska, Żywiec; Jan Badura, Szopienice; Feliks Brosławski, Baranowicze; J. Aleksiljewa, Białystok; Jan N. Maziarz, Ozorków; Marja Gawryleni, Baranowicze; „Bebe"; **Alfred Babik, Chorzów** (zł. 20.—); Eustachy Kidyba, Włodzimierz; pchor. St. Łazarewicz, Warszawa; Markus Tennenhaus, Stanisławów; Filip Schleimer, Stanisławów; E. Rozenberżanka, Brzeziny; Zdz. Żółkiewicz, Katowice; Lesław Żukotyński, Otwock; Piotr Duda, Rembertów-Nowy; Jola i Hala Kowalczykówna, Łódź; Zofja Kowalczykowa, Łódź; Wanda S.; Zofja Maksymowiczowa, Lwów; Józef König, Toruń; Stanisław i Marja Sztandersey, Skarżysko-Kam.; Stanisław Domagalik, Będzin; inż. Z. Łabęcki, Chorzów; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; „Wilnianin"; Zdzisław Ptaszyński, Pabjanice; Stanisław Kaszubski, Dobre; Zofja Tryhubczakówna, Kraków; Józef Stefańczyk, Pabjanice; Izabela Kozłowska, Warszawa; ppor. Kazimierz Hrynkiewicz, Wilno; Wojciech Szklarski, Warszawa; P. Kaniak, Lwów; Bogusia Mendralówna, Rzeszów; A. Łopottówna, Baranowicze; Marja ~~Ba~~worowska, Sorocko; Eugenja Mączewska, Piotrowice Śl.; Czesław Mączewski, Piotrowice Śl.; Stanisław Jakubowski, Warszawa; Janina Gillowa, Warszawa; Wacław Butrowicz, Gniezno; inż. Tad. Kubiczek, Chorzów; Irena Lewicka, Lwów; Jan Wewiórski, Brzeżany; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Karol Łukasiewicz, Brzeżany; Klub Pracowników „Gazolina", Borysław; Janka Burzyńska, Szamotuły; Natalja Wnukówna, Sosnowiec; Józef Gołębiowski, Kraków; Michał Adamczyk, Siedlce; Irena Senze, Żychlin; Józefa Drabik, Warszawa; Stanisława Mikowska, Warszawa; **Antoni Mieczkowski, Wilno (zł. 10.—)**; por. W. Szamowski, Bielsko; W. Majewski, Warszawa; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Michał Leszczyński, Trembowla; Zofja Fiutkowska, Warszawa; Filek z Baranowicz; Mar. Piędkowski, Bielsko; Zygmunt Wiśniewski, St. Łapy; Roman Chromiński, Krzemieniec; Wojciech Woźniak, Kraków; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Anna Loeglerowa, Lwów; Józef Rosenblatt, Łódź; inż. Tadeusz Nycz, Magnuszew; Konrad Oślizło, Bieruń Stary; Władysław Zioło, Zielonka; Marja Gizela Kłosińska, Porąbka; Jerzy Zapiór, Kraków; Helena Celewiczowa, Stary Sącz; W. Nosć, Anin; Zbigniew Kowal, Stołpce; Zygmunt Pieracki, Wilno; Tad. Trąbczyński, Łódź; Ela Hankówna, Rybnik; Stanisław Walczyński, Częstochowa; Rena Ustaszewska, Warszawa; Zofja Zajączkowska, Sydzyna; Łucja Pannenkowa, Lwów; dr L. Rozenman, Zamość; Follek Rajmund, Rybnik; Franciszek Prus, Danilcze; Zygmunt Tietz, Warszawa; Helena Zielińska, Starachowice; K. Młyniec, Krakow; Marja Flisarska, Kraków; Ewa Dyrgowa, Poznań; Józef Misiołek, Łęzyny; Mieczysław Drozd, Krynica; Bronisław Kaczmarczyk, Wolsztyn; Ludwik Wawrzyczek, Kończyce; Marjan Jagusiński, Kraków; Zofja Szutowiczowa, Wilno; Zygmunt Łebek, Miechów; Marja Raczkiewiczowa, Warszawa; Natalja Sobolewska, Lublin; B. Ramułtowa, Jeżów; Czesław Błażejewski, Ząbki; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Teofil Sobecki, Poznań; Wanda Sobecka, Poznań; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Wł. Hahorkiewicz, Skawina; Józef Bazgier, Pabjanice; Marjan Taras, Stryj; Józef Urban, Targanica; **dr W. Womperski, Starachowice** (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. X. 1935); Józef Ruta, Wieluń; Edward Filarski, Chełmno.

Nagrody otrzymali pp. Alfred Babik, Chorzów (zł. 20.—), Antoni Mieczkowski, Wilno (zł. 10.—), oraz dr W. Womperski, poczta Starachowice (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31. X. 1935).

Nagrody pieniężne redakcja „Światowida" prześle niebawem.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404 200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

POWRÓT Z MANEWRÓW.



Defilada 68-go pułku piechoty, powracającego z manewrów w rejonie Tucholi. Bliższe szczegóły na str. 2—3-ej.

Fot. W. Pikiel — Warszawa.